ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 4(77) • Kwiecień 2012 • Cena 3,00 zł

Ze Lwowa do Złotoryi

Kiedy 5. stycznia (przemilczymy rok) na świat przyszła śliczna dziewczynka w lwowskiej rodzinie państwa Jadwigi z d. Migockiej i Mariana Pyziów zapanowała wielka radość. Pan Marian był cały w skowronkach, z wdzięczności i szczęścia obsypywał małżonkę komplementami. Dziewięcioletni Zbysio nawet nie zdążył zamanifestować zazdrości, bo od pierwszej chwili, gdy zbliżył się do „żywego zawiniątka" pokochał tę małą istotkę, która stroiła do niego jakieś minki albo spała.

W kochanym Lwowie

Lwów pamiętam bardzo dobrze – **mówi pani Wanda Kiraga -** piękne kamienice, mnóstwo zieleni,

zamek, do którego chadzaliśmy krętą drogą. Lwów był wspaniałym miastem, z duszą. Wśród pięknej architektury - jego mieszkańcy. Lwowiacy to wspaniali ludzie: pogodni, uśmiechnięci, pomagający sobie wzajemnie. Miasto jako ośrodek uniwersytecki przyciągało ludzi młodych, zdolnych i pracowitych. A baciary z Łyczakowa do dzisiaj umilają swym bałakiem życie codzienne i wiele uroczystości. Szczepcia i Tońcia wciąż jeszcze można usłyszeć na falach eteru.

Często, gdy zebrała się grupa w jakimś miejscu, śpiewano piosenki o Lwowie. Na ulicy słyszało się rozmowy różnojęzyczne, bowiem we Lwowie mieszkali Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Włosi, Niemcy i pewnie jeszcze inni i wszyscy kochali i szanowali Lwów.

Mój tata – Marian Pyzio i jego brat, Stanisław, uczestniczyli w obronie Lwowa w latach 1918 – 1920. Byli patriotami i nie żal im było narażać życia w walkach polsko-ukraińskich. Byli jednymi z nielicznych Orląt, którym udało się przeżyć.

Mieszkaliśmy w pięknym przestronnym piętrowym domu, który wybudował mój tata, przy Parku Stryjskim. Odwiedzali nas krewni, opowiadano mi potem, że był to też czas rozmów o Ojczyźnie. Z wielkim szacunkiem myślę o ludziach z tamtych lat, którzy tak pięknie uczyli patriotyzmu – w domu, w kościele, w szkole.

Nasze życie rodzinne było bardzo udane. Rodzice nas kochali i dbali o nasze potrzeby. To była sielanka. Wyjeżdżaliśmy nad Dniestr, a tam u znajomych rodziców zajadaliśmy się ziemniakami z kwaśnym mlekiem. Mój kochany brat czasami sprawiał, że płakałam. Zbysio zabierał mnie na małe zakupy ale po drodze chował się nagle za ogromnymi, ciężkimi bramami lwowskich kamienic. Beczałam, a on pojawiał się i słodko mnie pocieszał. Ale był dobrym bratem

Moja mama nauczyła się świetnie gotować i piec i rozpieszczała nas smakołykami. Rodzicom powodziło się dobrze, nie znaliśmy głodu, czy niedostatku, wówczas nam – dzieciom - wydawało się, że inni też tak mają. Kiedy piekę tort według przepisu mamusi, znów jestem we Lwowie.

W okowach

Kiedy pierwszego września Niemcy zaatakowali Polskę, tata ukrył nas nad jeziorem w tataraku. Udało się przeżyć. A kiedy tatuś dostał etat telefonisty w Cukrowni w Chodorowie, oddalonym o ok. 60 km od Lwowa, po pewnym czasie pojechaliśmy do niego. W Cukrowni panoszyli się już Niemcy. Pomimo iż pracownicy mieli deputat, to cukier jeszcze znikał w przepastnych woreczkach przewieszanych na plecach i piersiach, które odpowiednio pikowane po wypełnieniu wyglądały jak kamizelka kuloodporna. Deputat wystarczał na potrzeby własne i jeszcze pozwalał na wymianę z mieszkańcami wsi, na mięso i warzywa. W eskapadach na wieś wyspecjalizowała się mama. Dzięki zaradności rodziców wielokrotnie z trudnych sytuacji wychodziliśmy obronną ręką.

Chodziłam do pierwszej klasy. Moją szkołę zabrali Niemcy i zamienili na skład broni. W tej sytuacji zakonnicy oddali nam swój budynek ale i on spodobał się Niemcom. Szkołę zsunęli do suteryny, a na wyższych kondygnacjach złożyli zapas amunicji. Pomimo wielu uciążliwości ludzie starali się normalnie żyć. Dzieci przystąpiły do pierwszej komunii św., a zaraz potem, po dwóch tygodniach - do bierzmowania. **Pani Wanda uśmiecha się do wspomnień i mówi:** miałam wówczas pewną przygodę. Spotkał mnie na ulicy ksiądz i pyta, dlaczego jestem umazana na granatowo?- A ja mu na to, że jadłam pierogi.

Następnego dnia w kościele szedł ten ksiądz przed biskupem, zobaczył mnie i głośno zapytał: „A dzisiaj nie jadłaś pierogów?" Taki to był ksiądz, każdego dostrzegł.

Wyjechaliśmy do Chodorowa.

Czas poniewierki

Zaczęły się regularne bombardowania. Rodzina Pyziów schroniła się w piwnicy, gdzie przyszło im spędzić trudnych sześć tygodni.

Danuta Sosa: Jak mała Wandzia zapamiętała ten czas?

Wanda Kiraga: Było okropnie! Strasznie się bałam! Ze strachu męczyły mnie torsje w tej piwnicy. A kiedy bombardowali w pobliżu, to brat był oczywiście bardzo ciekawy i wybiegał na dwór i patrzył na to. Wszyscy przeżywaliśmy to bardzo, bo odłamki leciały na wszystkie strony, wokół powstawały leje po bombach, ale niestety , trzeba było uciekać i wyjechaliśmy na Podkarpacie do miejscowości Zarszyn k. Krosna i Jasła. Tam byliśmy przez jakiś czas w wynajętym domu. Mój brat – Zbigniew, pojechał do Krakowa na studia, bo maturę zrobił jeszcze we Lwowie. Pewnego razu dowiedzieliśmy się, że zostały zlikwidowane wszystkie pociągi w tę stronę, gdzie właśnie mieszkaliśmy. Brat miał odciętą drogę. Tymczasem, udało mu się przyjechać ostatnią lokomotywą. Radość była wielka.

Kiedy ogłosili, że można wracać do Lwowa, a Rosjanie zbliżali się, zabraliśmy na plecy, co kto mógł i ile mógł, i ruszyliśmy w drogę. Ja ze swoim ulubionym jaśkiem, który zawsze nosiłam pod pachą, sama go sobie pilnowałam. Dotarliśmy do wioski, która nazywała się Długi. Nastąpił przymusowy postój, gdyż z jednej strony podchodzili żołnierze radzieccy, a z drugiej strony – niemieccy. Niemcy mieli taki balon obserwacyjny i tylko patrzyli którędy, kto i gdzie idzie, natomiast ruscy na całym placu wkopali miny i umieścili napisy: „meny".

Niemcy za nami puścili salwy z tego balonu. Czołgaliśmy się wszyscy jak prawdziwi żołnierze. Szliśmy dalej. Żołnierze sowieccy bardzo chętnie podwozili

wędrowców ale tylko za wódkę. Wódkę zawsze trzeba było mieć. No to wsiadało się do samochodu, po kilku kilometrach informowali, że trzeba wysiąść, bo jadą po paliwo i tyle ich widzieliśmy. Potem podjeżdżał następny i historia się powtarzała.

Wróciliście do Lwowa i co dalej?

Tułacze życie

We Lwowie zastaliśmy dom cały, mieszkał tam dziadzio z druga żoną- „przyszywaną babcią". Jakiś czas pomieszkaliśmy z dziadkami ale wszystkie nasze rzeczy zostały w Zarszynie. W budynku murowanym były sprzęty i inne wartościowe rzeczy, a w drewnianym domku - odzież i mniejszej wartości przedmioty. Wracamy do Zarszyna!

Pojawiły się przeszkody. W Medyce wytyczono granicę. Moi rodzice kolejny raz poradzili sobie z przeciwnościami. Mnie i mamę tata zapakował do wagonu z rannymi żołnierzami radzieckimi. W Medyce przykryli nas wojskowymi płaszczami i przejechałyśmy. A tata poszedł z jeńcami. Z Przemyśla dotarliśmy do Zarszyna i nie wiem po co! Dom drewniany został spalony, a murowany ograbiony ze wszystkich rzeczy. W tej sytuacji wróciliśmy do Przemyśla i stamtąd dotarliśmy do jakiejś wioski, gdzie przez jakiś czas mieszkaliśmy.

Co się działo w tym czasie z bratem?

Tym razem Zbyszek pozostał we Lwowie, pod opieką rodziny, bo mieli otwierać szkoły, a on chciał się uczyć. Miał już 18 lat i wujostwo uznało, że może pojechać do Tyśmienicy w woj. stanisławowskm, gdzie mieszkała rodzina ojca i dowiedzieć się, co u nich słychać. Brat posłusznie pojechał i potem opowiadał, jaka spotkała go tam przygoda. Aby dotrzeć do zabudowań rodziny, należało przejść przez kładkę na rzece. Kiedy Zbyszek znalazł się na kładce, z drugiego brzegu wstąpiła na nią Ukrainka, która zapewne szybko rozpoznała obcego. Domagała się ustąpienia z drogi, głośno i gniewnie krzyczała. Zbyszek zepchnął kobietę do wody i szybko się oddalił. Kiedy dotarł na miejsce, dostał się pod ostrzał banderowców, ale nie trafiono go. Kiedy dowiedział się, że krewni - rodzina Koników (siostra ojca z mężem i dziećmi) została wymordowana, wrócił do Lwowa i podążył naszym śladem.

A dokąd dotarła wasza trójka?

Szliśmy od wsi do wsi. Nawet zamieszkaliśmy w pięknym pałacu w Witryłowie k/Sanoka. Nikogo tam nie było, pałac był doszczętnie okradziony. Rodzice znaleźli w salonikach kilka mebelków, zagospodarowali jeden z nich i pozostaliśmy na jakiś czas. Po naszej stronie Sanu mieszkali Polacy, a po drugiej - Ukraińcy. Kiedy zbliżały się Święta Wielkanocne, Ukraińcy ogłosili, że urządzą Polakom „czerwonego baranka". Nikt nie wiedział, co to może znaczyć. Polacy wystawili warty, a potem okazało się, że i tak złapali kilku Polaków i skrępowanych żywych wrzucili do rzeki. Uciekliśmy stamtąd czym prędzej do Przeworska i tu wielka radość, bo spotkaliśmy rodzinę. W grupie powiększonej o rodzinę stryja dotarliśmy do Trębaczowa w pobliżu Kępna. Było tu jeszcze dużo Niemców. Bałam się zwierząt domowych, mama też nie radziła sobie z dojeniem krów, obrządkiem, ale wszystkiego nauczyły ją Niemki. W dniu szóstym grudnia dotarł do nas brat i to był najpiękniejszy mikołajowy prezent . Zaliczyłam czwartą klasę zupełnie dobrze i tylko z religii otrzymałam ocenę dostateczną. Nastały dni radosne. Odnalazły nas ciocie Czerniowieckie, które osiadły w Kaliszu.

A co ze studiami brata?

Trwał przy postanowieniu i dlatego rodzice postanowili, że jedziemy do Wrocławia. A to już był rok 1947. Ja trafiłam do szkoły przy ul. Nowowiejskiej, którą z naszym domem dzielił tylko park. Ukończyłam klasę szóstą i siódmą. No Zbynio startował na Politechnikę, bez powodzenia, więc poszedł do Liceum Energetycznego i po roku dostał się na wymarzoną Politechnikę. Ja jako jedyna z klasy wybrałam Liceum Pedagogiczne przy ul. Dawida, gdzie spędziłam bardzo fajne cztery lata. Po maturze otrzymałam nakaz pracy do Złotoryi. Przyjechałam do tego smutnego miasteczka. Nie podobało mi się tu. Mnóstwo ruin i to nie z powodu działań wojennych. Jakoś tak nie podobało mi się to wszystko. Zostałam zatrudniona w Szkole Podstawowej nr 1, gdzie kierownikiem był pan Kazimierz Styś. Przydzielono mi dwa wychowawstwa, na dwie zmiany. Mieszkałam u wujostwa a koleżanki u pana kierownika szkoły. Takie to były czasy. Państwo Stysiowie mieli duże mieszkanie i jeden pokój był praktycznie lokalem przechodnim dla nauczycieli bez mieszkania. Pamiętam, że mieszkała też u nich Janka Musiał, później Orłowska.

Pamiętam, to była moja wychowawczyni z pierwszych lat szkolnych. Bardzo kochaliśmy ją. Ale powróćmy do dziejów panny Pyziówny.

Pewnego razu jedna z koleżanek zapytała mnie, czy wiem, że do Pani Stysiowej przyjechał przystojny brat, kawaler. Ni z gruszki, ni z pietruszki głośno wyraziłam myśl: „ciekawe, jaki z niego byłby mąż". Pan Ryszard podjął pracę na „Lenie", poznaliśmy się, a potem zostaliśmy małżeństwem. Stało się to w rok po mojej maturze. No i zostałam szwagierką swojego kierownika. Byłam młoda i nie znałam się na ludziach, miałam to szczęście, że trafiłam na wspaniałego, odpowiedzialnego człowieka. Przeżyliśmy ponad czterdzieści lat, teraz te dobre wspomnienia są moją podporą.

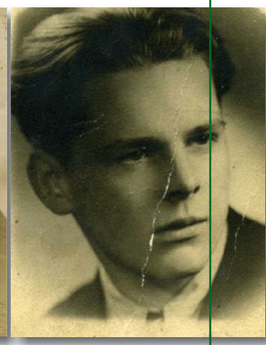

Jak dalej toczyło się życie zawodowe?

W 1961 roku pan Kazimierz Styś postanowił zorganizować szkołę specjalną dla dzieci upośledzonych. Oczywiście, namówił mnie, żebym przeniosła się do tej szkoły. Pociągnęłam za sobą koleżankę, Alinę Pieprzyk, i uruchomiliśmy szkołę. Mieściła się wówczas w budynku „Bacalarusa". Pierwsze tygodnie w tej szkole były bardzo trudne. Dzieci były często głodne, nieodpowiednio do pogody ubrane. Zabiegałyśmy o jakiś posiłek dla nich, kupowałyśmy im zeszyty, długopisy, czy kredki. Wyczerpało mnie to tak, że postanowiłam odejść. Moja ciocia była wówczas kierowniczką takiej szkoły w Kaliszu i powiedziała, że jak wytrzymam pół roku, to nie odejdę. Nie odeszłam. Przepracowałam w tej szkole czterdzieści lat. Przeszłam wszystkie etapy jej rozwoju i zmiany budynku. W pracy poznałam wielu wspaniałych, oddanych dzieciom kolegów. Przyjechała pani Cieślińska. Na razie nie było dużo dzieci i mowy nie było, by zatrudniono pedagoga. Taką pomoc każdy wychowawca organizował sobie sam. Ale już się pojawił psycholog, który kwalifikował do szkoły na podstawie opinii nauczycieli. Nawet z początku kwestionował tę dużą ilość, ale szybko się przekonał, że opinie były przygotowywane starannie. Klasy rozrosły się nam do 16 i 18 osób, co spowodowało konieczność stosowania nauczania indywidualnego. Jakoś radziliśmy sobie. Dużo czytaliśmy fachowej literatury, podejmowaliśmy specjalistyczne studia. A wszystko po to, by lepiej służyć dzieciom, które pokochaliśmy. Wykonywaliśmy pomoce naukowe, potrafiliśmy postępować z dziećmi z różnymi schorzeniami. Przyszedł czas na konferencje wyjazdowe. Pracując podjęłam kolejne wyzwanie . Zostałam studentką pedagogiki specjalnej w Katowicach.

Praca, tylko praca?

Nie tylko. Jeszcze działałam społecznie, np. w ZNP. W międzyczasie pełniłam wiele funkcji. Byłam radną Rady Narodowej, prowadziłam zespoły artystyczne. Przygotowałam tez wspaniały występ Laur Olimpijski (z pomocą Zosi Dudek i Irenki Malik) w Domu Kultury. Potem zbierałam gratulacje. Woziłam moje dzieci na ciekawe wycieczki, do teatru, opery, do uczniów w innych ośrodkach..

Kiedy szkoła ubiegała się o imię, napisałam do „Przekroju": „Jeśli żyje jakiś współpracownik Janusza Korczaka albo ktoś, kto go znał, to proszę, żeby się do nas odezwał". I proszę sobie wyobrazić, że w bardzo krótkim czasie otrzymaliśmy list z Częstochowy od pani Henryki Kędzierskiej, która była współpracownicą dra Janusza Korczaka. Między nami nawiązała się niesamowita przyjaźń. Pani Henryka była na uroczystości nadania szkole imienia i zaprosiła mnie z cała moją klasą do siebie. Pojechaliśmy pociągiem, a potem taksówkami pod dom pani Henryki w pobliżu Jasnej Góry. Spędziliśmy tam wspaniałych sześć dni. Zwiedziliśmy Ojców i zwiedzaliśmy częstochowskie zakłady pracy. Szkoda! Pani Henryki nie ma już wśród nas ale została serdeczna o niej pamięć. Po czterdziestu czterech latach pracy poszłam na emeryturę. Czasami przeglądam swoje dyplomy i odznaczenia.: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski z 1987r., Nagrodę Ministra list. Z 1980r. I inne.

Radosna emerytka

Czy nadszedł czas odpoczynku?

I tak i nie. Oddałam się życiu rodzinnemu, towarzysząc moim kochanym synom : Sławkowi i Remkowi i ich rodzinom. Pokochałam ich żony i uwielbiam ich dzieci. Mam pięć cudownych wnuczek – dorodne, uzdolnione i przesympatyczne. Bardzo się kochamy. Ponieważ Sławek mieszka w Kanadzie, wspaniałe bliźniaczki: Karolinę i Martę widuję rzadziej. Zostają telefony. Złotoryjska trójka: Estera, Daria i Sandra wpadają do mnie, a ja mam wtedy rozćwierkany słoneczny dzień. Te trzy wesołe dziewczyny znane są w Polsce z racji występów zespołu tanecznego „Łau", który założyła i prowadzi ich mama. Mama i córka podnoszą kwalifikacje. Esterka zdobyła licencję instruktora.

Udało mi się kilkakrotnie pojechać do Kanady na dłuższe pobyty. W moim domu jest teraz kilka pamiątek z wycieczek, które tam odbywaliśmy, mnóstwo zdjęć i mam pełną głowę wspomnień.

Dni złotoryjskie są podobne do dni innych wdów, czyli odwiedzam grób męża, czytam książki, spotykam się z przyjaciółmi. Należę do Stowarzyszenia Dzieci Wojny i z innymi osobami wydaję pomoc żywnościową (ze środków unijnych) dla członków Stowarzyszenia.

A co na podsumowanie?

Wszystko toczy się dobrze. Nad zdrowiem jakoś panuję, cieszy mnie świat i znajduję wiele radości w życiu codziennym. Mam znajomych i przyjaciół na miejscu i ukochaną przyjaciółkę – Tosię Górną, trochę dalej, z którą jestem w stałym kontakcie.

Nasuwa mi się taka refleksja - pomimo złych przeżyć wojennych mam dobre życie, wiele otrzymałam od losu ale też staram się od siebie coś dać.

Dziękuję za rozmowę i życzę jeszcze wielu wspaniałych przeżyć.

Danuta Sosa

Fot. z archiwum rodzinnego Pani Wandy.

Ja złodziej

W tym świecie są tylko pewne śmierć i podatki – powiedział dawno temu niejaki Benjamin Franklin. Na drugi świat się póki co nie wybieram…

Powinienem się już dawno przyzwyczaić, że moje ukochane państwo traktuje swoich obywateli jak potencjalnych przestępców. Pamiętam swoją pierwszą kontrolę z Urzędu Skarbowego, gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy przedstawiciel fiskusa sugerował wyraźnie, że jestem oszustem podatkowym. Ale później było już tylko lepiej. Urzędnicy stawali się coraz milsi, nawet zaczęli się uśmiechać. W zeszłym roku zapowiedziano, że państwo wreszcie zacznie ufać swoim obywatelom i zamiast zaświadczeń w życie wejdą oświadczenia. Niesiony tym niezdrowym optymizmem wybrałem się, do urzędu skarbowego, aby pochwalić się wspólnym z koleżanką małżonką pitem.

O 7.30 urząd skarbowy świeci pustkami, więc z radosną miną stawiłem się przed urzędniczką, by złożyć dokumenty. Pani przejrzała dokumenty i zażądała aktów urodzenia moich dzieci. Przecież w zeszłym roku nie potrzebowaliście? Trzeba dostarczyć, do tego kserokopię legitymacji studenckiej starszego syna. No jak trzeba to trzeba. I jeszcze przyniesie pan potwierdzenie przelewów do ZUSu. W zeszłym roku wydrukowałem całą książeczkę potwierdzeń przelewów i nikt ich nie żądał. Są konieczne. No cóż przyjdę jutro, bo już zaczęła się tworzyć kolejka. W domu nastąpiły zakrojone na szeroką skalę poszukiwania aktów urodzenia dzieci.

Podejście drugie. Zaopatrzony w dokumenty. Stawiam się o godzinie 7.30 w urzędzie. Tym razem przyjmuje mnie urzędnik płci męskiej. Pan jednak nie chce oglądać aktów urodzenia, tylko kręci nosem nad potwierdzeniem przelewów. Przelewy do ZUSu płacę razem z pracownikami, więc istnieje uzasadnione podejrzenie, że podatnik Robert P. może je płacić w innej wysokości niż nakazuje ustawa. Podatnik ten prawdopodobnie jest na tyle bezczelny i pewny siebie, że zapewne jakimś dziwnym trafem może uprawiać ten proceder chociaż ZUS na bieżąco monitoruje deklaracje i wpłaty, wyłapując wszelkie nieścisłości.

Zaświadczenie ma być i koniec!

Na moje nieszczęście okazuje się dodatkowo, że jedna ze stron zeznania jest źle wydrukowana. No cóż – do trzech razy sztuka.

Na do widzenia słyszę jeszcze, że mam przynieść pity koleżanki małżonki. Panie w ZUSie nie wyglądały raczej na szczęśliwe, że muszą wydawać dziesiątki szczegółowych zaświadczeń zgłaszającym się podatnikom – z drugiej zaś strony, gdyby ZUS działał tak jak urząd skarbowy, to przy takiej pitowej akcji pewno zatkałby się na parę miesięcy.

Po tygodniu, tyle mniej więcej trzeba czekać na zaświadczenie z ZUSu stawiam się w złotoryjskim urzędzie skarbowym po raz trzeci. Tym razem musi się udać. Po kolei prezentuję dokumenty. Na pierwszy ogień idzie zaświadczenie z ZUS. Pan wklepuje mozolnie wszystkie moje wpłaty: kwotę, datę dokonania wpłaty osobno dla ubezpieczenia zdrowotnego i społecznego – razem 48 pozycji. Obserwując tę heroiczną wręcz pracę i pytam się sam siebie w duchu, jaki jest sens sprawdzania przez jeden urząd państwowy drugiego urzędu państwowego na podstawie dokumentu wydanego przez ten drugi urząd państwowy. Siedzę jednak cicho.

Przychodzi czas na pity koleżanki małżonki. Gdy pan je uważnie przegląda, nie wytrzymuję i pytam się: PITy 11 zakłady pracy miały dostarczyć do końca stycznia do właściwych urzędów skarbowych - tak? Tak. To nie może ich pan sprawdzić w komputerze? Ale prawdopodobnie nie są jeszcze wprowadzone – ucina urzędnik. Na moje stwierdzenie, że ZUS pod tym względem działa sprawniej – pan się delikatnie obrusza. Oznacza to, że mam do czynienia z pracownikiem świadomym swojej misji, dumnym z miejsca, w którym pracuje. Brawo!

Przychodzi kolej na akta urodzenia dzieci, które znowu są poddane szczegółowemu oglądowi. Wszystko trwa już ze czterdzieści minut, więc podatnik, czyli ja zaczyna się nudzić, a jak człowiek się nudzi, to do głowy przychodzą różne idiotyczne myśli. Wie pan, nie wziąłem ze sobą aktu ślubu – mówię. Pan lekko skonsternowany: Ale ja przecież nie żądałem. A to dobrze. Ale przecież może ja z tą panią wcale nie jesteśmy małżeństwem, albo rozwiedliśmy się w trakcie roku podatkowego, nie daję za wygraną. Wystarczy oświadczenie, że jesteście Państwo małżeństwem. Oświadczeeenie, mówi pan? Żeby już nie denerwować skąd inąd bogu ducha winnego urzędnika, nie nękam go już moimi przemyśleniami: dlaczego do jednych rzeczy wystarczy zwykłe oświadczenie, a do innych kwity, pieczątki, które w dobie photoshopa znacznie łatwiej wyprodukować niż złożyć przed urzędnikiem państwowym fałszywe zeznanie.

Jeszcze tylko protokół i… O nie! Pan przeprasza mnie, zabiera mój pit i gdzieś podąża. Siedzę. Obok mnie zmieniają się ludzie. Mogę się zapoznać mimochodem z różnymi problemami podatkowymi trapiącymi naród. Na pamięć uczę się misji złotoryjskiego urzędu skarbowego: „Skuteczna realizacja polityki podatkowej państwa oraz budowanie świadomości sprzyjającej dobrowolnemu wykonywaniu obowiązków podatkowych, przy jednoczesnym zapewnieniu jakości świadczonych usług.” Wreszcie zaczynam czytać internetowe wydanie Gazety w telefonie. Gdy zbliżam się do końca, powraca pan urzędnik z moim pitem. Panu nie podoba się jedna z rubryk w moim zeznaniu. Nie ma ona zupełnie wpływu na wymiar podatku. W dodatku ja tak naprawdę nie wiem o co chodzi. Dzwonię więc do biura rachunkowego i oddaję słuchawkę panu urzędnikowi, żeby porozmawiał sobie z kimś kompetentnym. Rozmowa trwa kilka minut i chyba po obu stronach telefonicznej fali zaczynają puszczać nerwy. Nie chce mi się już przychodzić po raz czwarty do urzędu, więc zgadzam się na skorygowanie zeznania według uznania pracownika fiskusa.

Jeszcze tylko parafki no i protokół. Patrzę wymownie na zegarek i mówię: godzina i czterdzieści dwie minuty. Ale to nie moja wina – szybko ripostuje pan urzędnik. Wiem i nie mam do pana pretensji.

Nie wiem ile zarabiają urzędnicy skarbowi, ale sądzę, że godzina ich pracy nie kosztuje mniej niż 30 złotych. Czyli sprawdzenie mojego, przepraszam naszego: mojej żony i mojego pita kosztowało budżet państwa około 50 zł. Zapewne nie jestem przypadkiem odosobnionym.

Na ścianie sali obsługi podatników wisi dyplom przyznany przez Gazetę Prawną złotoryjskiemu urzędowi skarbowemu dla najbardziej efektywnego małego urzędu skarbowego. I wcale mnie to nie dziwi. Może kiedyś, gdy będę przejazdem w takim Lwówku czy Jaworze zajdę do ichniejszego urzędu sprawdzić, czy również posiadają takie trofea. Obstawiam, że nie.

Tym czasem muszę się pogodzić z faktem, że jak bardzo rzetelnie wypełniałbym swoje obowiązki podatkowe, i tak będę traktowany jak złodziej i oszust. Ale czy może być inaczej w państwie, gdzie nieuczciwi bywają ministrowie, posłowie i samorządowcy?

Robert Pawłowski

Wąwóz na Polnej, Darwin i Homo stultus

Lubię tę naszą Polną. Dobrze się tu mieszka. Z sąsiadami zgoda, że aż nudno, ruch niewielki, z rzadka tylko przemknie jakiś pojazd lub zajdzie pieszy. Spokój święty. No i ta lokalizacja. Niby obrzeże miasta, a do Rynku piechotą ledwie parę minut. W przeciwną zaś stronę, Szlakiem Brzeżnym, tylko pola i lasy, hen, aż po Leszczynę. Ni miasto to więc, ni sioło ta nasza Polna. Dla mnie, mieszczucha dorastającego na podwórkach Placu Wolności, z genetyczną ciągotą do wszystkiego co rustykalne, miejsce to niemal bukoliczne. Do tego ta nazwa „Polna” – prosta, bezpretensjonalna i jakaś taka przyjazna zarazem, a do tego trochę *nomen omen.* Prawdziwa to bowiem ulica ledwie przez pierwszych parędziesiąt kroków, potem zaś to już tylko zwykła droga polna, pokryta gdzieniegdzie bazaltowym klińcem, który przy pierwszych gwałtowniejszych deszczach spływa pod nasz dom. Bo gdy pada deszcz, Polna zamienia się wnet w wartki, płytki potok, potrafiący nierzadko narobić niezłego bałaganu. A wszystko przez pochyłość, w którą wpisana Polna pnie się na całej swojej długości. Początkowo łagodnie, ledwie zauważalnie, potem, od wlotu do wąwozu, coraz ostrzej w górę, by u zbiegu z Leszczyńską - na pożegnanie jakby – zupełnie się niemal wypłaszczyć wraz z zanikającym wąwozem. I o tym właśnie wąwozie na Polnej chciałbym opowiedzieć. Zjawiskowy zupełnie: skarpy wysokie, w najgłębszym miejscu na dobre sześć-siedem metrów, strome, symetrycznie wycięte w morenowych żwirach. Na nich wiekowe, nierzadko ponad stuletnie dęby, lipy, graby i ptasie czereśnie. Poszycie szlachetne, z płożącego bluszczu oplatającego gdzieniegdzie pnie drzew, cieniolubnych paproci, kępek dzikiego szczypioru, wiosną pokryte kobiercem żółtych ziarnopłonów i niebieskimi plamami fiołków. Nad nim zaś, piętro krzewów, z trzmielinami, mahoniami, czarnymi bzami, dzikim agrestem i mnóstwem zawleczonych Bóg wie skąd płonych samosiewów lilaka. Urocze to miejsce, fascynujące o każdej porze roku. Ostoja kilkudziesięciu gatunków ptaków, siedlisko wiewiórek, popielic, łasic, lisów, jeży, niezliczonej ilości owadów, regularnie odwiedzane przez dziki i sarny. Nic tylko cieszyć się z hojności natury i opiekować się tym szczególnym miejscem, troszczyć się o nie i szanować, szanować, szanować. Tak podpowiada rozum, a ten przymiot wpisaliśmy sobie przecież dumnie w nazwę naszego gatunku: *Homo sapiens* – człowiek rozumny. Widząc jednak od kilku lat, od kiedy to zamieszkałem na Polnej, jak traktowany jest nasz wąwóz i jakie są – o zgrozo - wobec niego plany na przyszłość, dochodzę do wniosku, że oto, zgodnie z teorią ewolucji Darwina opisaną w dziele *O powstawaniu gatunków*, jesteśmy świadkami wyodrębniania się nowego człowieczego gatunku, naszego mentalnego *alter ego*. To *Homo stultus* – człowiek bezrozumny, durny lub wprost - człowiek głupi. Nic tylko osobniki tego właśnie gatunku upodobały sobie na nieszczęście to miejsce. Kim jest ten nowy ludzki takson? Jakie są jego cechy swoiste? Niestety morfologicznie jest nie do odróżnienia od człowieka rozumnego. Zdradzają go jedynie jego czyny – efekt braku zdolności do refleksji, logicznego myślenia, niskiej wrażliwości, prymitywności, a czasem zwykłego barbarzyństwa. *Homo stultus*-em może być każdy, choćby rolnik wywalający w otulinie wąwozu przyczepy śmieci z opakowaniami po środkach ochrony roślin i nawozach. Może to być przedsiębiorca demontujący auta, który od lat podrzuca w pobliskie krzaki plastikowe elementy kokpitów. Albo inwestor budujący zapewne nieopodal dom (lub też jego wykonawca), który nocą pozbywa się w wąwozie resztek materiałów budowlanych, betonu, glazury. Wreszcie może to być nałogowy amator nocnych schadzek samochodowych w wąwozie, który od lat pozostawia po sobie w jednej z jego zacisznych odnóg opakowania po tych samych tanich papierosach, kiepskich musujących winach oraz równie mało wyszukanych napojach gazowanych i słodyczach. Wymieniam tylko tych „bardziej zauważalnych” przedstawicieli nowego gatunku. Nie da się zliczyć wielu innych, którzy np. przejeżdżając wąwozem w dół czy w górę, krótką chwilę intymnego kontaktu z przyrodą w tym miejscu skwapliwie wykorzystują na pozbycie się przez okno pojazdu przeróżnych niepotrzebnych rzeczy: plastikowych petów po napojach, worków, kanistrów czy szklanych butelek. Są jednak jeszcze gorsi, choćby *Homo stultus* - podpalacz. Ten barbarzyńca wznieca corocznie na wiosnę u wejścia do wąwozu pożary traw, które zagrażają wszystkiemu wokół i do których wzywa się straż pożarną. Nie zraża go to wcale i można być niemal pewnym, że za rok uczyni to samo. Czym wytłumaczyć takie postępowanie jeśli nie przynależnością do innego, tego durniejszego człeczego gatunku? Jest jednak *Homo stultus* bez porównania groźniejszy i bardziej szkodliwy od tamtych, destrukcyjny na tyle, że bez większego wysiłku potrafi – jeśli zechce - unicestwić nasz wąwóz. Dowiedziałem się o jego istnieniu przypadkiem, wertując lokalny plan zagospodarowania przestrzennego. Tym największym zagrożeniem jest *Homo stultus,* który wymyślił, że wąwozem poprowadzona będzie dwukierunkowa ruchliwa droga zbiorcza, łącząca Legnicką z Leszczyńską, czyli ni mniej ni więcej jak odpowiednio szeroka wybetonowana lub wyasfaltowana ulica. Wizjoner, któremu udało się ten pomysł zawrzeć w planie zagospodarowania doprowadzić do tego, że przeszła ona całą skomplikowaną procedurę planistyczną, łącznie z etapem konsultacji i składania uwag. Pełny sukces. Pomysł był zapewne efektem gwałtownego, niekontrolowanego niczym przypływu myśli, wznieconym - ma się rozumieć - szlachetną ideą czynienia dobra i poprawy komfortu życia okolicznych mieszkańców. Jakie będą skutki tego „dobrodziejstwa”, potrafi przewidzieć każdy. Prędzej czy później droga powstanie. W pierwszej kolejności trzeba będzie wąwóz poszerzyć. Czyniąc to zniszczy się jego naturalny profil i wytnie część drzew. Aby zapewnić bezpieczeństwo użytkownikom nowej drogi, usunie się następną część drzewostanu, tym razem porastającego skarpy, aby spadające gałęzie nie stanowiły zagrożenia. Skarpy zaś, jako zbyt strome, zostaną zapewne zabezpieczone betonowymi kratownicami, aby osypująca się ziemia nie zanieczyszczała jezdni. Wykona się to usuwając krzewy i niszcząc naturalne poszycie. Takim oto sposobem wąwóz na Polnej wraz z tym co w nim dzisiaj rośnie i piszczy odejdzie w przeszłość. Rzadziej też zapewne będzie się pojawiać w tym miejscu *Homo stultus,* bo nie będzie już - przy nowopowstałej drodze - gdzie podrzucać śmieci, czego podpalać czy wycinać. Będzie porządek, a ludziom będzie łatwiej. Tyle tylko, że kosztem wąwozu, ale kogo by tam on obchodził, poza kilkoma miejscowymi, którzy najpewniej mają w utrzymaniu stanu obecnego swój interes.

Martwię się trochę, bo jeśli wierzyć Darwinowi (a brak jest naukowych dowodów na to, że się kiedykolwiek mylił), większość zmienności decydujących o powstaniu odrębnego gatunku jest dziedziczna. Wniosek z tego, że bezrozumność - jako cecha swoista gatunku *Homo stultus* - także. W przyszłości może więc nie być lepiej.

*Nazwę *Homo stultus* wymyśliłem sam, kalecząc zapewne łacinę, brzmiała jednak fajnie stąd zdecydowałem się jej użyć

P.S. podczas świątecznej przechadzki z psami po wąwozie zauważyłem, że ktoś wywiózł do jednej z jego odnóg kilka wywrotek grubego betonowego gruzu. Lepiej zorientowany sąsiad wyjaśnił mi, że to przygotowanie do budowy drogi. A więc zaczęło się znacznie szybciej niż to sobie wyobrażałem…….

Marek Sarna

Kronika

Nasi klienci muszą być solidni

Z Prezesem Zarządu Powiatowego Banku Spółdzielczego w Złotoryi **Józefem Froniem** rozmawia Agnieszka Młyńczak.

Jaka jest struktura Powiatowego Banku Spółdzielczego w Złotoryi , teren jego działania?

Obecna struktura została określona w roku 2000, kiedy to organa samorządowe trzech banków spółdzielczych w Złotoryi, Świerzawie i Warcie Bolesławieckiej podjęły za zgodą ich właścicieli (tj. członków) decyzję o połączeniu tych jednostek w Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi. Nowy bank obejmował zasięgiem swojego działania teren powiatów złotoryjskiego, bolesławieckiego, legnickiego, jaworskiego, jeleniogórskiego oraz lwóweckiego. Decyzja o połączeniu podyktowana została głównie potrzebą wzmocnienia kapitałowego, sprostania wymogom określanych w ustawie Prawo bankowe ale także koniecznością optymalizacji kosztów funkcjonowania banku, stworzenia korzystniejszej oferty produktów bankowych
w warunkach wzrastającej konkurencji na rynku usług bankowych, w tym w szczególności banków zagranicznych wchodzących na polski rynek.

Należy jednak wiedzieć, że historia Banku Spółdzielczego w Złotoryi sięga połowy roku 1947, kiedy to przy dużym zaangażowaniu spółdzielców, osób przybywających na teren ziemi złotoryjskiej, powstał ten bank. Od tego czasu nieprzerwanie prowadzimy działalność, dokonując zmian organizacyjnych dostosowanych do warunków społeczno-ekonomicznych i gospodarczych, w których przyszło realizować zadania określone w Statucie Banku oraz w przepisach regulujących działalność banków spółdzielczych.

Centrala naszego Banku mieści się w Złotoryi. Oprócz tego posiadamy oddziały w Świerzawie i Warcie Bolesławieckiej, filie w Zagrodnie, Pielgrzymce, Wojcieszowie, Bolesławcu oraz Nowogrodźcu. We wszystkich placówkach zatrudnionych jest około sześćdziesięciu pracowników.

W czym Bank Spółdzielczy jest lepszy i co go odróżnia od innych banków komercyjnych funkcjonujących w Polsce?

To jest inne podejście do zasady maksymalizacji zysków. Osiąganie jak największego zysku jest bowiem w bankach spółdzielczych nie celem samym w sobie, lecz środkiem do realizacji celów określonych przez członków spółdzielni oraz wybranych przez nich przedstawicieli w organach samorządowych banku. Chodzi o to, by lepiej wypełniać swoje zadania statutowe, zwiększać jego siłę kapitałową, a tym samym być bankiem bardziej bezpiecznym, który oferuje coraz lepszą i dostosowaną do oczekiwań klientów ofertę produktową.

Charakterystyczną cechą banków spółdzielczych jest ich konsekwentna orientacja na sektor małych i średnich przedsiębiorstw, rolnictwo i lokalne samorządy, a więc podmioty raczej zaniedbywane przez wielkie banki komercyjne.

U nas, przy ocenie zdolności kredytowej poza czynnikami ekonomicznymi czy oceną ryzyka kredytowego, liczy się reputacja klienta w lokalnym środowisku, historia współpracy rodziny klienta z bankiem. Nie stosujemy wyrafinowanych metod oceny ryzyka, a portfel kredytów zagrożonych to zaledwie 2 procent całości. Jest to średnio trzy razy mniej niż w bankach komercyjnych. Świadczy to z jednej strony o dobrej znajomości naszych klientów, trafności w podejmowaniu decyzji kredytowych, właściwej ocenie ryzyka, ale z drugiej strony - o trosce o klientów, o nasze wspólne dobro, jakim jest bank spółdzielczy. Można powiedzieć, że klientom banku spółdzielczego nie wypada być niesolidnym kredytobiorcą.

Nasz Bank często wygrywa z bankami konkurencyjnymi bezpośrednim kontaktem z klientem, elastycznością podczas negocjowania oferty, szybkością w podejmowaniu decyzji, a także przejrzystością zasad i procedur stosowanych w banku. Klient ma możliwość bezpośredniego kontaktu z Zarządem Banku i omówienia oraz wynegocjowania najkorzystniejszej dla niego oferty.

Kolejną zaletą banku spółdzielczego jest silna integracja z miejscową społecznością. Bank i jego organa samorządowe przywiązują dużą wagę do bliskich relacji ze środowiskiem lokalnym i samorządem gminnym, często włączając się w rozmaite akcje o charakterze społecznym i charytatywnym. Bank Spółdzielczy wspomaga finansowo działające w lokalnym środowisku kluby sportowe, organizacje kobiece i młodzieżowe, działające w środowisku wiejskim Koła Gospodyń Wiejskich i lokalne zespoły folklorystyczne, a także czynnie włącza się w organizację różnego rodzaju lokalnych świąt, jak na przykład dożynki gminne i powiatowe, przeglądy zespołów kresowych, biegi uliczne, święto chleba, święto pieczonego ziemniaka i wiele innych podobnych imprez na terenie powiatu złotoryjskiego i bolesławieckiego.

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi należy do grupy instytucji wspomagających finansowo odbywające się corocznie w Złotoryi mistrzostwa w płukaniu złota. Nie zapominamy również o najmłodszych, wspomagamy organizacje szkolne, harcerzy, młodzieżowe kluby sportowe, wyjazdy uczniów na wypoczynek, zwiedzanie kraju, wyjazdy na tzw. zielone szkoły. Także corocznie przekazujemy środki na zakup upominków dla wychowanków czterech domów dziecka, funkcjonujących na terenie naszego działania z okazji Dnia Dziecka czy też na mikołajki.

Dlaczego w nazwie Bank ma słowo „spółdzielczy"? Czy dlatego, że jest spółdzielnią?

De facto są spółdzielniami, które prowadzą działalność bankową. Z jednej strony funkcjonują w oparciu o prawo spółdzielcze, a także ustawę o funkcjonowaniu banków spółdzielczych, z drugiej strony podlegają ustawie Prawo bankowe. Oznacza to, iż banki spółdzielcze (w odróżnieniu od SKOK-ów) są objęte polskim systemem gwarantowania zdeponowanych w banku środków pieniężnych przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny i - jak banki komercyjne - podlegają nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego. Jednak właścicielami tych banków nie są spółki akcyjne, a członkowie spółdzielni, czyli po prostu klienci, osoby zamieszkujące lub prowadzące działalność gospodarczą na terenie obsługiwanym przez bank.

Jakie usługi świadczy Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi?

Bank spółdzielczy oferuje obecnie pełne spectrum usług bankowych. Zajmuje się m.in. przyjmowaniem wkładów pieniężnych, udzielaniem pożyczek i kredytów konsumenckich oraz prowadzeniem rachunków bankowych. W ofercie znajdują się również takie czynności, jak wydawanie kart płatniczych i wykonywanie operacji przy ich użyciu, przeprowadzanie bankowych rozliczeń pieniężnych. Bank oferuje swoim klientom również usługi wchodzące w zakres tak zwanej bankowości elektronicznej, umożliwiając dostęp do rachunków bankowych poprzez Internet i wykonywanie operacji za pomocą usługi Internet Bankingu czy też Home Bankingu. Dla usprawnienia obsługi klientów na terenie obsługiwanym przez bank uruchomiliśmy 4 bankomaty, w tym 2 w Złotoryi oraz w Świerzawie i w Wojcieszowie. Planujemy zainstalowanie dalszych bankomatów w innych miejscowościach na terenie powiatu złotoryjskiego i bolesławieckiego.

To, co nas między innymi odróżnia od innych banków komercyjnych, to bogata oferta kredytów preferencyjnych dla gospodarstw rolnych. Oferujemy tej grupie klientów różnego rodzaju kredyty na rozwój gospodarstw, zakup maszyn i urządzeń, zakup ziemi na powiększenie gospodarstwa i na inne cele, umożliwiające unowocześnianie i rozwój produkcji rolnej, wprowadzanie nowych technologii w rolnictwie. Dzięki współpracy z Agencją Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa oprocentowanie jest znacznie niższe od kredytów komercyjnych. Jesteśmy pomocni rolnikom w trudnych sytuacjach spowodowanych klęskami żywiołowymi jak np. powodzie, wymarznięcia, klęski suszy czy też gradobicia, plagi zniszczenia upraw przez gryzonie, itp. Wielokrotnie w latach ubiegłych wspieraliśmy producentów rolnych długoterminowymi, niskooprocentowanymi kredytami na przywrócenie produkcji rolnej. Również i w tym roku, po wymarznięciu pewnej części zasiewów ozimych konieczna będzie taka pomoc kredytowa poszkodowanym rolnikom.

Wreszcie warto podkreślić, że Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi z powodzeniem prowadzi obsługę rachunków bankowych wszystkich jednostek samorządu terytorialnego miast i gmin na terenie powiatu złotoryjskiego oraz części gmin powiatu bolesławieckiego, a także podmiotów i instytucji powiązanych z budżetami miast i gmin oraz budżetem powiatu. Władze samorządowe tych jednostek, według oceny Banku, właściwie rozumieją zasadę, że lokalny pieniądz winien być wykorzystany na rozwój lokalnego środowiska. Cieszylibyśmy się bardzo, aby zechciały rozumieć tę zasadę inne podmioty gospodarcze funkcjonujące w lokalnym środowisku, w tym między innymi duże, dobrze prosperujące zakłady pracy, przedsiębiorstwa, lokalne firmy. Jesteśmy otwarci na taką współpracę i zapewniamy, że możemy przedstawić korzystne warunki obsługi ich rachunków bankowych i kredytowania.

Kto może zostać członkiem banku spółdzielczego? W jaki sposób jego członkowie wpływają na funkcjonowanie banku i wybór władz zarządzających bankiem?

W chwili obecnej Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi to grupa ponad 2700 członków z terenu działania banku. Osoby te są jednocześnie właścicielami Banku. Członkiem banku może zostać każda osoba fizyczna posiadająca pełną zdolność do czynności prawnych, a także osoba prawna. Warunkiem przyjęcia w poczet członków jest złożenie deklaracji w formie pisemnej i zadeklarowanie wpłaty co najmniej jednej jednostki udziałowej wynoszącej obecnie 115 zł. Wszyscy członkowie mają jednakowe prawa, bez względu na liczbę wniesionych udziałów. Między innymi mogą wybierać i być wybieranym do organów banku, jakimi jest Zebranie Przedstawicieli Banku, Rada Nadzorcza, Zarząd, a także uczestniczyć w podziale wypracowanej nadwyżki bilansowej w formie oprocentowania kwot wpłaconych na udziały.

Nasi członkowie corocznie spotykają się w trakcie odbywających się Zebrań Grup Członkowskich, gdzie mają możliwość dokonywania oceny funkcjonowania banku i jego organów, zgłaszania wniosków i postulatów dotyczących działalności, a w okresach czteroletnich wybierania swoich przedstawicieli, którzy reprezentują ich w czasie Zebrania Przedstawicieli. Wtedy zatwierdza się sprawozdania z działalności Banku i wypracowuje kierunki działalności na najbliższy okres, udziela absolutorium dla członków Zarządu Banku. Zebranie Przedstawicieli na czteroletnią kadencję dokonuje wyboru składu Rady Nadzorczej, której głównym zadaniem jest zatwierdzanie planów działalności oraz ocena realizacji podstawowych zadań, kontrola funkcjonowania banku, ocena ryzyka bankowego. Rada Nadzorcza powołuje, za zgodą Komisji Nadzoru Finansowego, Prezesa Zarządu Banku, a na jego wniosek, pozostałych trzech członków Zarządu. Co najmniej dwóch członków Zarządu, w tym Prezes, musi posiadać kwalifikacje i doświadczenie zawodowe związane z pełnioną funkcją, dające rękojmię prowadzenia działalności Banku z zachowaniem bezpieczeństwa wkładów i lokat w nim zgromadzonych oraz pozostawać w stosunku pracy z Bankiem.

Od jak dawna pełni Pan funkcję Prezesa Zarządu Powiatowego Banku Spółdzielczego w Złotoryi?

Na tę funkcję zostałem powołany uchwałą Rady Nadzorczej Banku w czerwcu 2006 roku w miejsce dotychczasowego Prezesa Pana Mieczysława Leszczyńskiego w związku z jego odejściem na emeryturę. Wcześniej w latach 2000 – 2006 byłem Wiceprezesem Zarządu tego banku, tj. od momentu połączenia Banku Spółdzielczego w Złotoryi z Bankami Spółdzielczymi w Warcie Bolesławieckiej i w Świerzawie. W Banku Spółdzielczym w Świerzawie rozpocząłem swoją pracę zawodową bezpośrednio po ukończeniu w roku 1979 studiów na Politechnice Wrocławskiej - Wydziale Informatyki i Zarządzania. Od roku 1982, mając 27 lat, objąłem obowiązki Dyrektora, a później Prezesa Zarządu Banku Spółdzielczego w Świerzawie. Dzięki mojej wieloletniej pracy w lokalnym środowisku zdołałem poznać specyfikę tego środowiska, rolników, producentów rolnych, lokalny biznes, struktury samorządu terytorialnego oraz wielu ludzi, którym na sercu leży rozwój pięknej ziemi złotoryjskiej, a także umacnianie sektora bankowości spółdzielczej. W latach 2008-2011 byłem członkiem Rady Zrzeszenia Banku Polskiej Spółdzielczości Bankowej S.A. Rozszerzyłem swoją wiedzę i umiejętności w zarządzaniu bankowością spółdzielczą, między innymi w roku 2006 ukończyłem studia podyplomowe z zakresu europejskiego prawa bankowego w Polskiej Akademii Nauk
w Warszawie. Miałem również możliwość poznania zasad funkcjonowania podobnych do naszej struktur bankowości spółdzielczej w takich krajach jak Francja, Niemcy czy też Portugalia.

Na zakończenie proszę opowiedzieć o nowej siedzibie Banku.

Od chwili powstania tj. od 1947 r.,prowadziliśmy działalność w budynku należącym do Urzędu Miejskiego w Rynku, w bliskim sąsiedztwie Urzędu Skarbowego. Władze banku, po części zmuszone planowanym powrotem włodarzy miasta do swojej przedwojennej siedziby, postanowiły zakupić i przystosować dla potrzeb Centrali Banku budynek przy ul. Marii Konopnickiej 17 w Złotoryi. W roku ubiegłym dużym wysiłkiem i nakładem znacznych środków stworzyliśmy placówkę, w której zarówno istnieje możliwość obsługi naszych klientów w warunkach dostosowanych do obecnych wymogów i ich oczekiwań. Poprzez rozwiązania architektoniczne stworzyliśmy warunki do obsługi osób niepełnosprawnych. Udało się nam stworzyć przyjazną atmosferę i poczucie bezpieczeństwa, tak ważnego w relacjach biznesowych i w bankowości. Stworzyliśmy dogodne warunki pracy dla pracowników bankowych, umożliwiając im tym samym profesjonalną i kompetentną obsługę wszystkich naszych obecnych i przyszłych klientów. Wyrażam nadzieję, że po zrealizowaniu przez władze miasta kolejnych prac, związanych z rewitalizacją tej części Złotoryi, będzie to miejsce coraz bardziej urokliwe i kojarzone przez mieszkańców miasta ze świadczonymi na wysokim poziomie usługami bankowymi.

Serdecznie zapraszam wszystkich mieszkańców Złotoryi oraz okolicznych miejscowości do nowo otwartej placówki i korzystania z usług Powiatowego Banku Spółdzielczego. Mam również nadzieję, że na łamach *Echa Złotoryi*, będziemy mieli jeszcze możliwość prezentowania naszych osiągnięć, uzyskiwanych wyników ekonomiczno – finansowych oraz wkładu Banku w rozwój ziemi złotoryjskiej.

Agnieszka Młyńczak.

Pierwsze, co daje się zauważyć na oddziale noworodków w złotoryjskim szpitalu to cisza. W środowe popołudnie panuje niezmącony spokój. Nie słychać płaczu żadnego z czterech obecnie przebywających tu maluchów. Nie ma odwiedzających, bo na neonatologię w zasadzie nie wolno wchodzić nikomu poza personelem i oczywiście noworodkami ale te rzecz jasna nie wchodzą, a wjeżdżają w wózkach. Tak jak kilkugodzinny Błażej, któremu położna Bożena Dudek właśnie będzie robić badanie pulsometrem w sali obserwacji potoczne zwanej erką. *To jedna z najnowocześniejszych sal na naszym oddziale, mamy tu najwyższej klasy sprzęt, nowoczesny inkubator, stanowisko do resuscytacji, pulsometr* – mówi położna i z dumą demonstruje funkcje urządzenia z naklejką WOŚP.

Błażej leży a Bożena przypina do jego mikroskopijnej stópki czujnik, dzięki któremu na monitorze można odczytać interesujące personel medyczny parametry. Chłopczyk nie czuje dyskomfortu, ponieważ urządzenie utrzymuje właściwą temperaturę w otoczeniu dziecka. Na monitorze pojawia się wskazanie tętna i saturacji, czyli natlenienia krwi. U Błażeja wszystkie parametry są w normie. Chłopiec urodził się zdrowy i nie ma powodu do niepokoju. Badanie jest profilaktyczne. Maluch może wrócić do mamy. Chyba, że kobieta będzie chciała odpocząć po porodzie, to wtedy opiekę nad noworodkiem przejmie położna. Przez pierwsze godziny po przyjściu na świat dziecka lepiej nie spuszczać go z oka, ponieważ wystarczy chwila nieuwagi, aby maluch zaczął się krztusić wodami płodowymi, które są jeszcze w jego organizmie.

Neonatologia jest częścią większego oddziału ginekologiczno-położniczo-noworodkowego. Odpowiedzialność za noworodki spoczywa na oddziałowej Ewie Nowak i pani ordynator Stanisławie Konsztowicz - Sikorskiej. Zarządzają siedmioosobową załogą pielęgniarek i położnych. *Jest to oddział I stopnia, czyli obsługuje się tu przede wszystkim porody fizjologiczne, choć zdarzają się też patologie, ale niezmiernie rzadko* – wyjaśnia Bożena.

Jak wyglądają pierwsze chwile po narodzinach dziecka?

Podczas porodu matce towarzyszą pielęgniarka i położna z oddziału noworodków oraz położna prowadząca ciążę. Jeśli poród jest fizjologiczny, nie musi być na sali lekarz. Ale w razie potrzeby natychmiast przychodzi na porodówkę, podobnie jak zespół anestezjologów, gdy konieczne jest znieczulenie rodzącej. Kiedy maluch przychodzi na świat nie daje mu się klapsa w pupę, by złapał swój pierwszy oddech. *To tylko na filmach tak wygląda, my masujemy plecy, stópki, to zazwyczaj wystarcza, a jeśli nie – robi się pięć oddechów jak przy resuscytacji* – tłumaczy Bożena Dudek. Zaraz po narodzinach dziecka ocenia się jego stan w stali Apgar, potem obserwuje się maluszka leżącego na specjalnym ogrzewanym stanowisku (nowy zakup szpitala), patrzy, czy wszystko jest w porządku i zabezpiecza pępowinę, zakrapia oczka, oczyszcza jamę ustną Tak przygotowanego noworodka kładzie się na dwie godziny na brzuch jego mamy. To zakładają nowe standardy - potocznie nazywane „kontakt skóra do skóry", które w złotoryjskim szpitalu są respektowane. Ale rzecz jasna bez ortodoksji. Jeśli mama nie chce leżeć dwóch godzin z maluchem na brzuchu, to ma prawo z tego zrezygnować. Czasami zmęczenie po porodzie nie pozwala nawet cieszyć się dzieckiem, a kobieta ma tylko ochotę na odpoczynek. Inne mamy rezygnują z tego kontaktu, ponieważ nie chcą oglądać swojego dziecka umazanego krwią i innymi płynami fizjologicznymi. Bo trzeba wiedzieć, że teraz maluchów nie myje się natychmiast po urodzeniu. W ten sposób oszczędza mu stresu wynikającego z kontaktu z wodą. Największą krzywdą dla noworodka jest utrata ciepła, a kąpiel mogłaby taki efekt spowodować i doprowadzić nawet do problemów z oddychaniem malucha. *Myje się dziecko dopiero po ustabilizowaniu* – mówi *Bożena. Są takie przypadki, gdy robi się to od razu, np. kiedy rodzi kobieta nosicielka wirusa HIV. Takie pacjentki jednak zwykle rodzą we Wrocławiu, co nie oznacza, że nie mogłaby gdzie indziej. Przy zachowaniu wszystkich standardów taki poród jest bezpieczny dla matki, dziecka i personelu.*

Po porodzie fizjologicznym, kiedy wszystko przebiega bez zakłóceń i miną przepisowe dwie godziny, maluch zostaje umyty, owinięty i wraca znowu do mamy. Oboje z sali porodowej przenoszeni są do pokoju, w którym mama będzie przebywać z noworodkiem aż do wypisu ze szpitala. To czas, by przystawić dziecko do piersi. Jeśli jednak cokolwiek budzi obawy lekarza lub położnej (zaburzenia

Tytuł

oddychania, mała masa urodzeniowa, podejrzenie wad wrodzonych), noworodek trafia do sali obserwacji. Tam monitoruje się oddech i inne ważne parametry życiowe. Oprócz kolejnego stanowiska do ogrzewania z pulsometrem i zestawem do resuscytacji oraz pompą do podawania leków stoi tam inkubator dla wcześniaków. Każda mama, której dziecko znajduje się w sali obserwacji, może je odwiedzać, a nawet czuwać przy nim, gdy czuje się na siłach. Jeśli jest konieczność odtransportowania maluszka do Legnicy, to właśnie tu bezpiecznie dziecko może czekać na specjalistyczną karetkę (rocznie około 15 noworodków taką podróż odbywa). Czasem czekanie jest dość długie, bo na całe województwo są tylko dwie karetki. Trzeba dodać, że jeśli już wiadomo wcześniej, że poród będzie odbywał się z komplikacjami, cały sprzęt z „erki" przenoszony jest na salę porodową, aby już od pierwszych chwil malucha, można było mu pomóc. Tak też dzieje się podczas cesarskich cięć. Na wszelki wypadek. Ale jak mówi położna Bożena: *najczęściej rodzą się nam piękne, różowe, dzieci. Każdy noworodek* – dodaje – *to dla nas duża odpowiedzialność. Mamy świadomość, że jakiekolwiek zaniedbanie z naszej strony mogłoby wpłynąć na jakość życia dziecka. Dlatego wolimy czasami na wyrost wykonać badania czy dłużej poobserwować niż czegokolwiek zaniechać. Wolimy zrobić więcej niż mniej. To powód, dla jakiego nasza sala obserwacji jest często wykorzystywana.*

Obok sali obserwacji jest inne pomieszczenie, w którym stoją dwa inkubatory, a nad nimi wiszą lampy. To sala do fototerapii dla dzieci, u których wystąpiła żółtaczka fizjologiczna. Naświetlania trwają nieraz całą dobę a nawet dłużej, więc tu również mogą pojawiać się mamy, by karmić swoje maluchy. Naświetlania są obecnie bardzo bezpieczne, ponieważ lampę UV od noworodka oddziela pokrywa inkubatora, więc nie ma możliwości poparzenia dziecka.

W pierwszych godzinach po narodzinach maluchowi należy pobrać krew. Zazwyczaj pobiera się ją z główki, bo żyły są tam najbardziej widoczne. Takie badania zlecone wykonuje się u noworodka dość często, ponieważ od pewnego czasu obowiązują nowe standardy, które zalecają monitorowanie stanu zdrowia maluszka,, gdy matce odeszły wody płodowe na długo przed porodem. Lekarze chcą sprawdzić czy dziecko nie ma wrodzonej infekcji. A jeśli taka infekcja zostanie wykryta, wówczas włącza się antybiotykoterapię. Krew u noworodka pobiera się też z paluszka lub z pięty, aby wykonać badania przesiewowe. Chodzi o to, by wykryć ewentualne choroby genetyczne: mukowiscydozę, fenyloketonurię i niedoczynność tarczycy, która prowadzi nawet do niedorozwoju intelektualnego.

Tuż po porodzie podaje się dziecku doustnie witaminę K i szczepi się na wirusowe zapalenie wątroby typu B i przeciw gruźlicy. Pierwszą dawkę podaje się w ciągu 24 godzin od urodzenia.

Obecnie mama może nie wyrazić zgody na te czynności. Przychodząc do porodu, kobieta wypełnia kartę, na której deklaruje zgodę na wykonywanie zabiegów lub kategorycznie się im sprzeciwia. W Polsce szczepienia są obowiązkowe, ale nikt nie jest w stanie zmusić rodzica do tego, by dopełnił tego obowiązku. Na własną odpowiedzialność matka może odmówić zgody na podanie dziecku szczepionki. Bożena Dudek twierdzi, że do przekonania mam o słuszności i konieczności szczepienia potrzebna jest rzeczowa rozmowa, a tuż przed porodem lub zaraz po nim emocje matki są dość silne. Dlatego liczy, na perswazyjną rolę pielęgniarek i lekarzy z przychodni, do której później trafiają mamy z dziećmi. Na razie nie można demonizować, mamy bardzo rzadko nie wyrażają zgody na podawanie noworodkom szczepionek.

Maluchy są codziennie ważone i przebierane w świeże ubranka. Złotoryjskie noworodki wyglądają bardzo kolorowo, zupełnie „nieszpitalnie". Tajemnica tego wyglądu kryje się w szafie, która stoi w korytarzu. Wypełniona jest kaftanikami, śpioszkami, pieluchami...Wnętrze wygląda jak regał sklepowy. Roi się od barw i wzorów. Te wszystkie ubranka, kocyki, pieluchy są z darowizn. Oddział chętnie przyjmuje wszystkie ofiarowane elementy garderoby dla noworodków. A zużywają się bardzo szybko po wielokrotnym praniu i prasowaniu. *Dlatego jeśli ktoś nie wie, co zrobić z niepotrzebnymi ubraniami, niech przywiezie do nas, my chętnie przyjmiemy* – apeluje położna. *Bierzemy wszystko: pościel, rożki, pieluchy, body...*

Pielęgniarki i położne na oddziale są bardzo oddane maluchom. Zdają sobie sprawę z odpowiedzialności, która na nich ciąży. Noworodek to pacjent, który sam nie poskarży się na swoje dolegliwości, na dodatek jest kruchy i bezbronny. Praca na neonatologii to ciężki wysiłek ale i dużo radości, bo w końcu tu rodzi się człowiek. Położne muszą być bardziej opiekuńcze, a zdecydowanie silniej opanowane niż niejedna matka. Muszą też mieć czas dla każdej kobiety, odpowiadają na pytania: jak karmić, jak przewijać. A kiedy trzeba zajmują się noworodkiem, gdy mama musi się zdrzemnąć. U nas nie ma takiej sytuacji, że młoda mama skarży się: *dali mi dziecko i nie wiedziałam, co mam robić* – mówi Bożena. Położna jest cały czas do dyspozycji swoich pacjentów.

Na oddziale mieści się też kuchnia, w której przygotowywane są posiłki dla tych noworodków, które nie mogą być karmione naturalnie. Bywa, że mama przyjmuje po porodzie leki, a wtedy jej pokarm zamiast pomagać dziecku, szkodziłby. Dlatego pielęgniarki wtedy podają maluchom butelkę ze smoczkiem. W pomieszczeniu kuchennym panuje sterylność porównywana z tą na sali zabiegowej. Osobom postronnym wejść tam nie wolno. Nie można dopuścić do żadnych ryzykownych sytuacji, które mogłyby zaszkodzić maluszkom.

Bożenę Dudek bardzo złości nieodpowiedzialność lub lenistwo przyszłych mam, które, będąc w ciąży, czasem ani razu nie odwiedzą lekarza ginekologa, nie mają karty ciąży, nie przeszły żadnych kontrolnych badań. Lekarz jest w stanie wykryć wszelkie zagrożenia i wady rozwojowe jeszcze przed narodzinami dziecka, a zaniedbania ze strony kobiet w ciąży prowadzą nawet do nieodwracalnego kalectwa u noworodków. Mocno irytujące są również kobiety, które nie zaprzestają palenia papierosów czy picia alkoholu na czas ciąży. Bożena nie raz już widziała maluchy, które rodzą się zbyt małe jak na swój wiek, bo ich mamy paliły za dużo. *Takie dziecko nie dość, że ma niską wagę po urodzeniu, to jeszcze widać u niego mniejszą żywotność, czyli słabsze napięcie mięśniowe, płacz też jest inny, nawet skóra takiego niemowlęcia jest inna z niedotlenienia spowodowanego nikotyną wchłanianą przez matkę* – mówi Bożena. Noworodki palaczek są często niespokojne, a to syndrom uzależnienia nikotynowego u dziecka. Jeśli mama wypala tylko 4 czy 5 papierosów dziennie, to wystarczająca ilość, by wpłynąć negatywnie na dalsze życie jej potomstwa.

Zdarza się też, że do porodu przychodzą pijane matki. To ogromny problem dla lekarza anestezjologa, który, np. musiałby znieczulać taką pacjentkę do cesarskiego cięcia. *Kobiety pod wpływem alkoholu podczas porodu awanturują się, są wulgarne, trudno z nimi współpracować, a poród polega właśnie na współpracy położnej i matki* – twierdzi Bożena.

Zdarza się, że kobiety po porodzie zostawiają w szpitalu swoje dziecko. Wynika to z bardzo złożonych przyczyn. Bywa, że rodzą się bliźnięta i jedno dziecko jest zdrowe, może po paru dniach opuścić szpital, a drugie musi pozostać na oddziale. A czasem noworodek jest po prostu z niechcianej, niepożądanej ciąży albo matka nie ma warunków, by zabrać go ze sobą... W takich wypadkach pielęgniarki i położne z oddziału muszą w miarę swych możliwości zastąpić maleństwu mamę. Przynajmniej na najbliższe dni.

Bożena Dudek mówi, że sporadycznie występują takie przypadki, kiedy matka definitywnie chce się zrzec dziecka. *To jest oddział, na którym emocje są bardzo silne. Niektóre decyzje zapadają pod wpływem impulsu, ale my robimy wszystko, by tonować stres. Kiedy widzimy, że kobieta się waha, rozmawiamy z nią, prosimy psychologa na konsultacje, ale nie mamy prawa naciskać na zmianę decyzji o zrzeczeniu się dziecka. Czasem kobieta po paru dniach wraca po swoje maleństwo. I wszystko kończy się dobrze.*

Emocje towarzyszą nie tylko matkom, których huśtawka nastrojów ma podłoże hormonalne, ale i tatusiom. Niektórzy są mniej opanowani niż rodzące. Kiedy puszczają im nerwy, potrafią nieźle dać w kość położnym. Ale są też tacy ojcowie, którzy po wszystkim wracają na oddział ze zdjęciem swojego dziecka, by zostawić pamiątkę i jednocześnie dać wyraz swej dumie z potomka.

Zdarza się też, że mimo wysiłków personelu, kobieta nie jest zadowolona z pobytu na oddziale. Szczególnie zdarza się to wtedy, gdy jej oczekiwania względem porodu i pierwszych dni po nim rozmijają się z rzeczywistością. Czytała w kolorowych pismach, że będzie wzruszająco i pięknie, a tu był ból i zmęczenie. To też jest rozczarowanie samym sobą: *może nie jestem dobrą matką, skoro nie umiem się cieszyć, a tylko chce mi się spać...i denerwuje mnie płacz dziecka.*

Żeby poród i kolejne po nim dni przebiegały bez większych niespodzianek, w naszym szpitalu od lat funkcjonuje szkoła rodzenia. Założyła ją Longina Podgórska, a teraz zajęcia prowadzą Ewa Rusin i Iwona Piendel. Każda para może skorzystać z lekcji prowadzonych w sali gimnastycznej na najniższej kondygnacji szpitala. Zajęcia trwają po godzinie dwa razy w tygodniu (poniedziałki i środy), cały kurs to 20 godzin. Szkoła rodzenia to ćwiczenia fizyczne i wykłady. Część teoretyczna zaczyna się od pogadanek na temat rozwoju dziecka przez dziewięć miesięcy ciąży. Jeśli chodzi o ćwiczenia fizyczne, to są one indywidualnie dostosowywane do ciężarnej. Wszystko zależy od zaawansowania ciąży i od tego, czy kobieta w ogóle ma zezwolenie od lekarza na taki wysiłek. Oczywiście nie są to ćwiczenia intensywne, raczej rozluźniające np. mięśnie krocza. Kobiety przygotowują się do właściwego oddychania przy kolejnych fazach porodu. Ćwiczą przy łagodnej, relaksacyjnej muzyce.

Ewa Rusin obserwuje, że obecnie chętniej ciężarne przychodzą ze swoimi partnerami. Panowie zachowują się różnie, jest wielu takich mocno zaangażowanych, ze skupieniem słuchają, wykonują polecenia, zadają pytania. Z panami najczęściej trzeba rozmawiać o pobycie i zachowaniu w sali porodowej. *Trzeba im to wszystko wytłumaczyć, żeby potem nie było niespodzianek. Na początku, kiedy wprowadziliśmy porody rodzinne, było kilka trudnych przypadków, kiedy to tatusiowie stwarzali problemy, również natury medycznej. Jeden tatuś zasłabł, inny zemdlał, upadł i rozbił głowę* – mówi Ewa Rusin. Chodzi o to, żeby partner wiedział, po co asystuje przy porodzie, jaka jest jego rola. Przede wszystkim musi nauczyć się czekać na narodziny. *A czekanie jest dla mężczyzn katorgą. Chcieliby, aby wszystko odbyło się szybko, a oni mogli wyjść na korytarz, zadzwonić do kumpli i powiedzieć: mam syna!* - mówi Ewa Rusin. Mężczyzna musi też wiedzieć, kiedy i jak rozmawiać z rodzącą partnerką. Jak ją zaprowadzić pod prysznic, jak masować...Nie może czuć się zbędny, ale też nie może absorbować uwagi personelu swoją osobą. W końcu to rodząca jest najważniejsza. I oczywiście dziecko.

Przed oczekiwanym finałem, każdy uczestnik zajęć poznaje tajniki narodzin dziecka,. Na fantomach Ewa Rusin pokazuje, jak wygląda przejście główki przez kanał rodny. *Wtedy dopiero wszyscy otwierają oczy ze zdumienia, że to tak wygląda i że nie tylko matka cierpi, ale też dziecko, a mama musi mu w tym przedostaniu się na świat pomóc* – mówi. Ale w szkole rodzenia są też przyjemniejsze tematy, na przykład nauka śpiewania kołysanek, albo ulubione przez wszystkich zajęcia z panią psycholog.

Ciężarne przyjeżdżają na zajęcia z odległych miejscowości: z Chojnowa, z Legnicy, a nawet z Wałbrzycha. Atrakcyjne dla nich jest to, że nie płacą za zajęcia i mogą do grupy dołączyć bądź z niej zrezygnować, kiedy mają ochotę, bo złotoryjska szkoła rodzenia ma charakter otwarty. Nie wymaga się od kobiety skończenia całego cyklu zajęć. Grupa „słuchaczek" ostatnio była naprawdę duża, bo jedenastoosobowa. I jeszcze jedenastu tatusiów. Wśród uczennic szkoły są kobiety które przychodzą tu, ponieważ chcą mieć poród rodzinny, a pewne szpitale wymagają w takich sytuacjach zaświadczeń o uczestniczeniu w zajęciach. W Złotoryi tego wymogu nie ma.

Czy rodzące po szkole są lepszymi pacjentkami? Nie zawsze to się potwierdza. *Kiedy prowadzę zajęcia, mówię do kobiet: pamiętajcie o zabraniu dokumentów, legitymacji ubezpieczeniowej, o karcie ciąży i o tym, by było w karcie oryginalne zaświadczenie o grupie krwi* – mówi Ewa Rusin. *I co? Przyjeżdżają do porodu, a tu brakuje albo karty, albo oznaczenia grupy krwi. I jest problem.*

Statystyka mówi, że dziennie przychodzi na świat w naszym szpitalu 1 – 2 dzieci. Ale w rzeczywistości jest tak, że np. w styczniu był prawdziwy wysyp noworodków, brakowało rąk do pracy na oddziale. Porody odbywały się „taśmowo". Początek wiosny przyniósł mały zastój, ale kolejny boom przewidywany jest na maj. Zwykle kobiety rodzą w intymnej atmosferze i taki też nastrój panuje przez kolejne dni przebywania na oddziale. Personel to odpowiedzialne, solidne pielęgniarki i położne, które nieustannie podnoszą swoje kwalifikacje i śledzą nowości dotyczące neonatologii. Nie zarabiają tu dużych pieniędzy, ale satysfakcje mają wtedy, gdy - jak mówi Bożena – *wręczamy wypis i książeczkę mamie i życzymy wszystkiego najlepszego na nowej drodze. My traktujemy każde dziecko jak nasz sukces.*50 % personelu ukończyło studia wyższe, ponadto wiele kursów i szkoleń. *Nasza pani ordynator, oddana duszą i ciałem swojemu oddziałowi, tak nas motywuje* – dodaje Bożena Dudek.

Ordynator doktor Konsztowicz-Sikorska jest pediatrą, specjalistą neonatologiem i od kilkunastu lat szefuje temu oddziałowi w Złotoryi. Dużą zasługą pani ordynator jest pozyskanie środków na nowy sprzęt i remont oddziału. Sama skromnie przyznaje, że nie byłoby jej tak łatwo, gdyby nie zrozumienie dyrekcji. Zdaje sobie sprawę, że potrzeby szpitala są ogromne, dlatego cieszy się z każdego zakupu dla noworodków. Rozmowa z doktor Sikorską potwierdza to, co o nie mówią pielęgniarki i położne – oddana noworodkom. *To wyjątkowe przeżycie, kiedy może się uczestniczyć w narodzinach dziecka i być świadkiem jego pierwszego oddechu* – mówi pani ordynator. Od czego zaczyna kontakt z dzieckiem? Od przywitania. Wie i wierzy, że dzieci, nawet te najmniejsze słyszą i czują. Stara się być życzliwie nastawiona do mam, nawet tych, które zbyt emocjonalnie reagują na jej czynności czy słowa. Z przykrością stwierdza, że niektóre pacjentki przekonane o swoich prawach nie zwracają uwagi na to, że na oddziale mają też wobec dziecka obowiązki. To nowe pokolenie, wychowane na internecie nie pyta o nic, nie przyjmuje żadnych rad, bo wszystko już zostało wcześniej znalezione w sieci. Kiedy w internecie pojawiły się alarmujące informacje o powikłaniach poszczepiennych, mamy zaczęły sprzeciwiać się tej formie profilaktyki. Stąd teraz trzeba pytać o zgodę matki na

wszystkie zabiegi jej dziecka. To *prawo pacjenta. A nikt nie mówi o naszych prawach* – z rozżaleniem dodaje pani ordynator. *Jak to wypośrodkować, żeby było dobrze?* – dodaje. *Trzeba rozmawiać z pacjentkami, informować, pytać o decyzje I tu z ogromną pomocą przychodzą położne, które na siebie biorą tę rolę.*

Mimo niżu demograficznego szpital utrzymuje 500 urodzin w roku. Rodzą tu kobiety ze Złotoryi, najbliższych okolic, ale też przyjeżdżają z Legnicy i innych większych miast. To dowód na to, że szpital złotoryjski wypracował sobie niezłą markę. Cały personel twierdzi, że to zasługa zgranej obsady oddziału i dużego oddania ordynatorów.

Iwona Pawłowska

Rzeszówek

Reichwaldau

Rzeszówek to łańcuchowa wieś średniej wielkości o długości około trzech kilometrów. Położona jest na krawędzi Rowu Świerzawy i Chełmów, w dolinie Kamiennika i Czerwieńca, wzdłuż lokalnej drogi prowadzącej ze Świerzawy do Kondratowa. Rzeszówek otaczają użytki rolne poprzerastane zagajnikami, a od wschodu Muchowski Las i kompleks leśny w dolinie Kamiennika. W skład Rzeszówka wchodzi dawna kolonia Bronków (źródło: strona internetowa Miasta i Gminy Świerzawa). Góry i Pogórze Kaczawskie to obszary, do których nie dotarł wielki przemysł i zabudowa miejska. Urozmaicony krajobraz zachęca do spacerów i uprawiania turystyki pieszej, i rowerowej. Okolice Świerzawy są bogatymi zbiorowiskami roślinnymi. Czystość przyrody sprzyja rozwojowi bardzo rzadkich gatunków roślin, a spotkanie różnych zwierząt jest wielce prawdopodobne.

Bez wątpienia warto wybrać się do Gminy Świerzawa i odwiedzić Rzeszówek. Na swojej drodze spotkamy życzliwych ludzi, którzy chętnie przybliżą nam historię wsi.

Pierwotnie wieś była własnością rycerską należącą do rodu von Zedlizów. Pomimo, że nie odgrywała w swojej historii roli istotnego ośrodka gospodarczego, to bez wątpienia były to dobra majętne, o czym może świadczyć pozostałość pałacowa. W XVII wieku prowadzono poszukiwania złota oraz innych metali. Podjęte działania nie doprowadziły do rozwoju ośrodka górniczego na tym terenie. I pomimo, że ziemia skrywa swoje skarby, to eksploatacja mająca przynieść zyski jest nieopłacalna.

Jeżeli Francja ma swoje zamki nad Loarą, to bez wątpienia Gmina Świerzawa jest krainą pałaców. Praktycznie w każdej miejscowości znajdują się założenia pałacowe lub pozostałości dworskie. Nie inaczej jest w Rzeszówku. Istniejąca tu budowla została posadowiona około 1700 r. i choć nie należy do najwybitniejszych dzieł architektonicznych na Śląsku, to na pewno przykuwa wzrok swoją wielkością. Według źródeł około 1770 r. pałac został znacznie przebudowany, a w 1988 r. rozpoczęto remont dachu, który ze względu na trudności finansowe został przerwany.

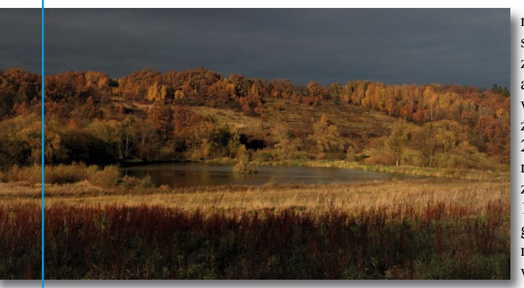

Budowla jest dwukondygnacyjna, zwieńczona reprezentacyjnym trójkątnym szczytem z facjatą – oficyna mieszkalna. Nakryta czterospadowym dachem z lukarnami i posadowiona na planie wydłużonego prostokąta daje wrażenie, że mamy do czynienia z okazałą budowlą. Do dnia dzisiejszego zachowały się pozostałości spichlerza, kuźni, stodoły i wozowni. Przed pałacem znajdował się ogród i reprezentacyjny podjazd z muru oporowego, a także park pałacowy założony w XVIII w. i zmieniony w XIX wieku. Był to wynik mody i gustów ówczesnych właścicieli, wśród których znajdowały się rodziny: Sauermann, Hochberg, Oldenberg.

Wojna francusko-pruska z 1870 r. odcisnęła w historii późniejszych Niemiec wyraźny ślad. W wielu miejscowościach upamiętniano poległych w niej mieszkańców. Podobnie było również w Rzeszówku. Do dzisiaj we wsi znajduje się pomnik ku czci Gustawa i Wilhelma Rufferów z kompanii kosynierów, którzy zginęli w 1870 r. Moim zdaniem jest to konstrukcja wzorowana na pomnikach rzymskich.

We wsi znajdują się liczne, dobrze zachowane budynki mieszkalne i gospodarcze z drugiej połowy XIX w., często o konstrukcji murowano-szachulcowej. Jak pisałem wcześniej, jest to element rozpoznawczy wsi w tej części Śląska. Wiele z tych budynków jest odnawianych i przywracanych do pierwotnego wyglądu.

Obok uroków architektonicznych Rzeszówek przyciąga turystów sztucznym zbiornikiem wodnym znajdującym się między Świerzawą a wsią Rzeszówek. Usytuowany jest w naturalnej niecce (podmokłe obniżenie terenu), posiada powierzchnię 2,64 ha i średnią głębokość od półtora do dwóch i pół metra. Na środku zbiornika usypano wyspę o średnicy 10 m. Łowisko zasilane jest wodami górskiego strumienia o nazwie Kamiennik. Sam obiekt położony jest w malowniczej okolicy i zachęca do odpoczynku. Jego brzegi porośnięte są pałką szerokolistną, nadającą mu cechy naturalnego zbiornika. Przy wjeździe na staw znajduje się wygodny i przestronny parking dla samochodów. Tuż obok zamontowano tablicę informacyjną oraz znaki informujące o zasadach i regulaminie połowu. Pamiętajmy o zachowaniu czystości oraz stosowaniu się do zasad ustalonych przez gospodarza obiektu Miejskiego Koła Polskiego Związku Wędkarskiego Świerzawa. Naturalne stanowiska wędkarskie pozwalają rozkoszować się czystością środowiska. Podczas połowów możemy liczyć na połów karpia, leszcza, płoci, amura, szczupaka, sandacza i suma.

W sierpniu Rzeszówek kusi turystów i mieszkańców gminy Leśną Biesiadą, która każdego roku gromadzi coraz większą ilość uczestników. Nic dziwnego, bo biesiada bogata jest w wystawy, konkursy i pokazy. Organizatorami przedsięwzięcia są Rada Sołecka, Koło Gospodyń Wiejskich, Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Wsi Rzeszówek, Ochotnicza Straż Pożarna oraz Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w Świerzawie. Każdego roku biesiada zaskakuje pomysłowością organizatorów. Kto choć raz odwiedził Leśną Biesiadę, staje się jej gorliwym fanem i czeka na kolejne spotkanie.

Przez Rzeszówek prowadzi wyznaczony szlak rowerowy – *Pętla Wałońska* oznakowany niebieskim kolorem. Biegnie ze Świerzawy przez Rzeszówek – Muchów – Jurczyce – Starą Kraśnicę – Dobków – Wojcieszów Dolny – Podgórki – Okole – Lubiechową i kończy swój bieg w Świerzawie. Jest to na pewno zachęta dla turystów lubiących wyprawy rowerowe. Można również zaplanować wyprawę pieszą uwzględniając na swojej trasie Rzeszówek.

Rozkwitająca wiosna sprzyja planowaniu wypraw, dlatego zachęcam do odwiedzenia Rzeszówka i odkrycia jego uroków.

Czesław Leśniak

Tytuł

Obrazek

Nie ma wody na pusty-

Chciałbym w kilku słowach odnieść się do tekstu Roberta Pawłowskiego pod tytułem “Medialna pustynia” (EZ, marzec 2012). Autor chyba trafnie zdiagnozował „spychanie na medialny margines” naszego miasta. Źle by się stało, gdyby jego refleksje przeszły bez „złotoryjskiego echa”, przez co rozumiem brak szerszego namysłu nad postawionym na końcu artykułu pytaniem. Brzmi ono w ogólniejszym kontekście następująco: może warto nagłaśniać i „sprzedawać” nasze lokalne sukcesy? Odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista: jasne, że tak! Kłopot zaczyna się wtedy, kiedy konsekwentnie drążyć temat: kto i jak miałby to robić? Odłóżmy na chwilę próbę odpowiedzi.

Dlaczego uważam, że tekst redaktora naczelnego jest ważny? Jesteśmy po obchodach 800 - lecia Złotoryi, ale przed dwoma innymi, ogólnokrajowymi wydarzeniami. Mam na myśli piłkarskie święto, jakim jest Euro 2012, którego mecze będą rozgrywane we Wrocławiu oraz przyznanie stolicy Dolnego Śląska miana Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Co do tego ostatniego, może powstać wątpliwość, że to dopiero za cztery lata. Odwróciłbym tego typu myślenie i powiedział: to już za cztery lata.

Euro 2012 przyciągnie do Wrocławia wiele zróżnicowanych grup kibiców. Oprócz tych typowo zainteresowanych wynikami rywalizacji sportowej, przyjadą także kibice- turyści, dla których sport będzie tylko pretekstem do odwiedzenia tych stron Polski. Najwięcej pewnie z Niemiec i Czech, ale także z innych stron Europy. To ostatni dzwonek, żeby pomyśleć o Złotoryi jako alternatywnym miejscu noclegowym dla wielu z nich: ceny na pewno nie będą niższe, dogodny dojazd (autostrada), dobra baza wypadowa, by wymienić tyle te atuty. Kibice muszą jednak o tym wiedzieć.

Z kolei Europejska Stolica Kultury 2016 przyznana Wrocławiowi (szczęśliwie dla nas - Złotoryjan), może nie jest tak nagłośniona, co jest zrozumiałe, ale nie mniej prestiżowa. Przyciągnie pewnie bardziej „wysublimowanych” kulturalnie klientów. Można spodziewać się w tym czasie potencjalnych turystów zainteresowanych historią Dolnego Śląska, chętnych odwiedzić miejsca z nim związane. Cóż bardziej korzystnego dla Złotoryi? Trzeba ich jednak zachęcić, żeby nas odwiedzili.

Redaktor Pawłowski ma rację: media są tu kluczowe, jeśli chcemy – jak to określił – bawić się w większym gronie. Bez środków masowego przekazu chyba się nie uda. Autor zauważa, że dziennikarze, choć zachęcani, jakoś nie garną się do popularyzowania naszych sukcesów. Przejmijmy zatem inicjatywę! Jak? Przez Internet!

Dzięki nowym technologiom następuje proces określany mianem „demokratyzacji kultury”. Początkowo oznaczał on przemiany w zakresie sztuki. Chodziło – ogólnie rzecz biorąc – o szeroki dostęp ludzi pochodzących z różnych grup i klas społecznych do wytworów artystycznych, do tej pory chronionych dla „estetów”. Obserwując kulturę współczesną można dojść do wniosku, że kluczowym narzędziem demokratyzacji jest Internet (poza tym, pozwala on na oddolne inicjatywy oraz szybkie organizowanie się). Ujmując sprawę najprościej: zdjęcie, które zrobisz, mogą zobaczyć tysiące ludzi, jeśli wrzucisz je na facebooka, nie potrzebujesz do tego galerii sztuki. Sprawa jest szersza i dotyczy nie tylko sztuki. W naszej perspektywie chodzi przede wszystkim o „zarządzanie” informacjami – popularyzowanie naszych niewątpliwych sukcesów. Jeśli media nie chcą tego robić, zróbmy to my! Nie jesteśmy zatem skazani na media, które nie chcą nas docenić!

Warto w tym kontekście życzliwie spojrzeć na dokonania innych miast. Skorzystajmy w tym względzie z doświadczeń Torunia, który stworzył profil internetowy (na pomysł wpadł.... mieszkający w nim Irlandczyk) skierowany do jego potencjalnych kibiców-rodaków odwiedzających Polskę. Z tego co wiem, błyskawicznie nawiązano świetne kontakty: Gród Kopernika już szykuje się na przyjęcie kibiców z Zielonej Wyspy. OK., Złotoryja to nie Toruń, ale dlaczego od razu stawiać siebie na straconej pozycji? Warto spróbować, szczególnie, że nie potrzeba na takie internetowe działania jakichś wielkich nakładów finansowych.

Robert Pawłowski pewnie słusznie zauważa, że brak promocyjnym działaniom wewnętrznej organizacji. Kto zatem miałby zająć się bezpośrednim zorganizowaniem takiego profilu i jego sterowaniem? Nie mam gotowej odpowiedzi, jedynie kilka intuicji. Idźmy drogą negacji: chyba nie Radni. Jako „osoby skromne i całkowicie pochłonięte bezinteresowną pracą na rzecz naszej lokalnej społeczności” niech pracują w spokoju. Obawiam się, że w przeciwnym razie nie będzie szans na ponowny tytuł „Super Samorządu”. Stawiałbym na młodych, niezbyt politycznie zaangażowanych ludzi, którzy potrafiliby współpracować z Radą Miasta oraz osobami mającymi do zaoferowania swój towar (zarówno ten materialny, jak i duchowy). Ludzi, którzy mają ciekawe pomysły, umieją organizować wokół siebie innych oraz im podobnych wyszukiwać poza naszymi granicami. Kiedy – od czasu do czasu – przyglądam się aktywności młodych Złotoryjan na różnego rodzaju profilach

Zostaną po nas guziki

Mija kolejna rocznica mordu katyńskiego. Niech niniejszy artykuł będzie epitafium i hołdem złożonym dla polskich oficerów zamordowanych przez funkcjonariuszy NKWD wiosną 1940 roku.

1 września 1939 po agresji hitlerowskich Niemiec na Polskę rozpoczęła się II wojna światowa. Sytuacja II Rzeczpospolitej stała się katastrofalna, gdy 17. września na jej terytorium wkroczyła Armia Czerwona, łamiąc wcześniej zawarte układy. Cała wschodnia cześć terytorium państwa polskiego dostała się w ręce sowieckie.

Funkcjonariusze NKWD określali polskich jeńców jako internowanych ponieważ ZSRR formalnie nie wypowiedział II Rzeczypospolitej wojny. Część jeńców została zwolniona do domów wkrótce po zatrzymaniu. Ponad 40 tysięcy polskich żołnierzy przekazano władzom niemieckim. Kolejnych 40 tysięcy jeńców zwolniono do domów, ponieważ zamieszkiwali przed wojną obszary ziem białoruskich i ukraińskich, anektowanych do ZSRR. Stali się tym samym obywatelami ZSRR i byli wcielani w szeregi Amii Czerwonej. Około 25 tysięcy polskich jeńców zostało skierowanych przez władze sowieckie do robót przymusowych do obozów pracy. Podobny los spotkał ok. 1,5 mln deportowanych w latach 1939-1941 Polaków, którzy trafili do gułagów na dalekiej północy, do Kazachstanu i w inne rejony ZSRR, gdzie byli traktowani jak niewolnicy. Generałów, oficerów służby stałej i rezerwy, wysokich urzędników wojskowych i państwowych, kadrę wywiadu i kontrwywiadu, funkcjonariuszy służb mundurowych - postanowiono odizolować w specjalnych obozach NKWD. Obozy te mieściły się w byłych klasztorach prawosławnych w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie (policja, żandarmeria, straż więzienna i graniczna, wywiad i kontrwywiad, kadra wymiaru sprawiedliwości). Ponad połowę oficerów stanowili rezerwiści. Kiedy ojczyzna wezwała, ubrali mundury i poszli walczyć. Byli to lekarze, nauczyciele, duchowni, artyści, dziennikarze – kwiat polskiej inteligencji.

Pośród nich znajdował się mój wuj – kuzyn mojej prababki Wandy Korczyńskiej de domo Żabskiej – Modest Żabski. Modest urodził się 08.05.1898 roku w niewielkim majątku ziemskim Sosnów w dawnym powiecie podhajeckim w województwie tarnopolskim. Był synem Mariana i Domiceli z Mitwickich. Od 1915 roku służył w armii austriackiej.
W Wojsku Polskim służył od 1918 roku. Był uczestnikiem wojny 1918–1921 w szeregach 5 pp Leg., a potem 1 pp Leg., w którym służył do 1932 roku. Mianowany ppor. w 1920 roku. Od 1937 roku służył jako kierownik referatu w Oddz. I Szt. Gł. WP. Odznaczony Virtuti Militari 5 kl., KW 4, SKZ, medalami 1918–1921 i 10-lecia. W ostatnich dniach swojego życia pełnił funkcję Mjr dypl. piech.

5 marca 1940 r. szef NKWD Ławrientij Beria skierował do Józefa Stalina list, w którym stwierdził, że polscy jeńcy *stanowią zdeklarowanych i nie rokujących nadziei poprawy wrogów władzy radzieckiej.* NKWD – stwierdzał dalej Beria – uważa za uzasadnione rozstrzelanie 14, 7 tys. oficerów i 11 tys. więźniów bez wzywania skazanych, bez przedstawiania zarzutów, bez decyzji o zakończeniu śledztwa.

Pod notatką Berii podpisał się Józef Stalin i jego najbliżsi współpracownicy. 1. kwietnia 1940 r. wyszły z Moskwy trzy pierwsze listy – zlecenia zabójstwa skierowane do obozu ostaszkowskiego. Zawierały 343 nazwiska. Oficerowie z Kozielska zostali zabici w Katyniu. Część z nich zamordowano w siedzibie NKWD w Smoleńsku, a ciała przewieziono do katyńskiego lasu. Oficerów z obozu starobielskiego mordowano w siedzibie NKWD w Charkowie, gdzie zamordowano Modesta Żabskiego, a zwłoki przewożono nocą do lasu obok wioski Piatichatki pod Charkowem. Więźniów obozu ostaszkowskiego zabijano w siedzibie NKWD w Kalininie, a ciała grzebano w położonej niedaleko miejscowości Miednoje. W Kijowie zabito 4181 więźniów z zach. Ukrainy (pochowano Ich w Bykowni), w Mińsku – 4465 więźniów z zach. Białorusi (pochowani prawdopodobnie w Kuropatach).

Wspomnienie o moim wuju Modeście niech będzie oddaniem czci wszystkim żołnierzom zamordowanym przez sowietów. Historia tyle lat milczała o nich, w szkołach uczono zakłamania. Zza światów dochodziły tylko głosy o pamięć ich bohaterstwa. Część Ich pamięci!

Tomasz Szymaniak

Zbigniew Herbert

GUZIKI
Pamięci kapitana Edwarda Herberta
(fragment)

tylko guziki nieugięte
przetrwały śmierć świadkowie zbrodni
z głębin wychodzą na powierzchnię
jedyny pomnik na ich grobie

(...)

tylko guziki nieugięte
potężny głos zamilkłych chórów
tylko guziki nieugięte
guziki z płaszczy i mundurów

Śląska kampania 1813 r. a sprawa polska

Nadzieje Polaków na odbudowę polskiej państwowości wiązane z Napoleonem Bonaparte gasły w miarę, jak gasło jego znaczenie militarne w Europie. Kolejne klęski coraz częściej przynosiły zwątpienie i próby poszukiwania innych metod i dróg do odbudowy Polski. Powstało już wiele opracowań na ten temat i nie jest moim zamiarem wdawać się w dysputy, czy rozstrzygać kto miał rację, czy jakie odniósł rezultaty. Chciałbym przedstawić takie oto wydarzenie, które miało miejsce na zamku w Pielaszkowicach 4. czerwca 1813 rokupodczas negocjacji rozejmu między Napoleonem, a wojskami koalicji rosyjsko-pruskiej. Ustanowiony w ów dzień rozejm dawał społeczności śląskiej z jednej strony odpoczynek od działań wojennych, z drugiej zaś przynosił udrękę związaną ze stacjonowaniem wojskjednej i drugiej strony. Jest rzeczą oczywistą, a przez to mało dostrzeganą, iż wielkie wydarzenia mają wpływ na zwykłych ludzi. Tak też stało się tego dnia. Pewien młody oficer sztabu Armii Bobru, niczego nie przeczuwając udał się ze swego obozu w Neumark w Saksonii do Pielaszkowic. Eskortował on zgodnie z otrzymanym rozkazem wielkiego koniuszego gen. Armanda Augustina Louisa de Caulaincourta – głównego negocjatora i uprawnionego przez Napoleona do podpisania rozejmu. Koniecznym jest w tym miejscu zaznaczyć, iż Napoleon prowadząc tajne negocjacje – równolegle z rokowaniami rozejmowymi - był bardziej zainteresowany zawarciem pokoju, aniżeli rozejmu, który sprzyjał koalicjantom. W imieniu Napoleona tajne negocjacje prowadził baron Agathon Fain, będący pierwszym sekretarzem tajnym Napoleona. Tym młodym oficerem był szlachcic wielkopolski Dezydery Chłapowski - późniejszy generał w powstaniu listopadowym. Oczekując przed pałacem na swego podopiecznego wdał się w rozmowę z pułkownikiem kozackim, który jak się okazało, stacjonując w Polsce, był gościem – jak to wtedy określano –domów mu znanych. Ośmielony tym zbiegiem okoliczności poprosił pułkownika o przekazanie listu do ojca w Polsce. Pułkownik bardzo życzliwy, zgodził się list wysłać, adresując go własnoręcznie - w ten sposób omijając cenzurę. List dotarł bez przeszkód. Chłapowski, chcąc skreślić słów kilka, potrzebował papieru, przypomniał sobie, iż w skład delegacji wchodzi jego dobry znajomy, baron Fain. Wbiegł do pałacu, odszukał Faina, siedzącego samotnie nad tekstem rozejmu i poprosił o papier. Słysząc odgłosy ożywionej rozmowy z sąsiedniego pomieszczenia, domyślił się, że są tam prowadzone negocjacje. Gdy Chłapowski skończył pisać list, sekretarz Fain w zaufaniu i wielkim sekrecie pokazał mu tajny dokument, w którym cesarz ofiarowywał tytuł króla polskiego albo wcielenie Księstwa Warszawskiego do Cesarstwa Rosyjskiego w zamian za zawarcie pokoju.

Oferta skierowana była oczywiście do cesarza Aleksandra I. Chłapowski, skrywając zdumienie, miał przed oczyma tajny dokument ujawniający prawdziwe zamiary Napoleona względem Polski. Wielce zmieszany wybiegł z pałacu i zapomniał o liście, który miał przekazać pułkownikowi kozackiemu. Dopiero ten, przytrzymawszy Chłapowskiego, przywrócił go do rzeczywistości.

Tak oto mimochodem wyjaśniły się tajne plany cesarza Napoleona wobec Polski. Wydarzenie to miało wpływ na dalsze losy Chłapowskiego, który po powrocie do Drezna zaraz złożył dymisję, nie podając przyczyn i wzbudzając wielkie zdumienie wśród oficerów. Chłapowski swym odkryciem podzielił się z dwoma przyjaciółmi – kapitanem Jordanem i generałem Chłopickim, którzy również z miejsca złożyli

rezygnację z dalszej służby.

W przypadku generała Chłopickiego do dziś przy roku 1813 opisy jego kariery wojskowej kończą się na stwierdzeniu – „złożył rezygnację”. Jakoś autorzy tych opracowań nie zadają sobie trudu, aby dociec przyczyny owej rezygnacji. Współcześni mu przypisali temu czynowi pobudki zgoła nieprawdziwe, rozpowszechniając wersję, jakoby zrobił to z powodu pominięcia w awansie. Dopiero opublikowane w 1899 roku w Poznaniu pamiętniki Dezyderego Chłapowskiego w prawdziwym świetle ukazały dymisję generała Józefa Chłopickiego w czerwcu 1813 roku.

Taki to epizod miał miejsce na Śląsku w Pielaszkowicach, w gminie Udanin – podczas „Wojny Śląskiej” – jak określał kampanię 1813 roku sam Dezydery Chłapowski, który wraz z dwoma przyjaciółmi zakończył karierę wojskową u boku cesarza Francuzów.

Porządki przy pomniku

W lutowym wydaniu Echa Złotoryi artykułem zatytułowanym „Pomnik bitwy o Złotoryję” przedstawiłem wydarzenia z 1813 roku, którym pomnik w Wyskoku jest poświęcony. Artykuł zakończyłem apelem o uporządkowanie jego otoczenia. Na odzew nie musiałem długo czekać. Na apel odpowiedzieli:
Maciek Kłosowicz z Nowej Wsi Grodziskiej
Michał Szkutnik z Czapli
Robert Klatka ze Złotoryi
Mariusz Drabicki z Wilkowa
Stanisław Masztalerz z Rzymówki
Marek Wójcik z Ernestynowa
Marian Wójcik z Kozowa
Tadeusz Gełesz z Wyskoku
Tadeusz Chmielowski - sołtys Wyskoku.

14 marca 2012 roku wyznaczyliśmy sobie spotkanie przy pomniku. Kilka dni wcześniej o zamiarze uporządkowania otoczenia pomnika poinformowałem Urząd Gminy w

Złotoryi oraz pana Tadeusza Chmielowskiego - sołtysa Wyskoku. Urząd Gminy bardzo przychylnie odniósł się do naszych zamiarów i zapewnił udział swoich pracowników uzbrojonych w odpowiedni sprzęt. Pan Tadeusz Chmielowski zaoferował transport, aby móc wywieźć śmieci. Pan Grzegorz Stafisz ze Złotoryi oddelegował swoich pracowników również stosownie uzbrojonych w piłę spalinową , szpadle i poczciwego Multikara. Nie zważając na ziąb, przystąpiliśmy do pracy. Wywieźliśmy 5 Multikarów śmieci, wykarczowaliśmy krzaki, wykosiliśmy wieloletnią, suchą trawę, przycięliśmy gałęzie drzew i usunęliśmy nadpalony pień drzewa zniszczonego przez uderzenie pioruna. Praca przebiegała tak sprawnie, że zakończyła się przed godziną 13.00. Jej efektem jest odsłonięty, dobrze widoczny obelisk. Miejmy nadzieję, że już nikt nie wpadnie na pomysł zasypywania go śmieciami.
Podczas pracy zrodził się pomysł, aby obok pomnika postawić planszę z wyjaśnieniem i opisem wydarzeń, które pomnik upamiętnia. Na planszy znajdzie się tekst widniejący już coraz słabiej na pomniku i jego tłumaczenie. Może będzie zapisany także w języku niemieckim.

Za włożoną pracę, wrażliwość i troskę o zabytkowy pomnik Bitwy o Złotoryję - wymienionym wyżej osobom serdecznie dziękujemy.

Cezary Skala

Heraldyka samorządowa powiatu złotoryjskiego cz. 5

Tytuł

Obrazek

Obrazek

Obrazek

Zapomniane – odszukane

Jubileuszowe medale

Obrazek

Obrazek

Obrazek

Warto przeczytać

Tytuł

Obrazek

Kącik starej widokówki

Tytuł

Obrazek

Historia jednej fotografii

Tytuł

Komu przekażesz część swojego podatku za 2011 rok?

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 23 lata. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

1% - wielkie możliwości

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2011 roku: "Osiem prelekcji na osiemsetlecie", Doroczne spotkanie z Czytelnikami Echa Złotoryi i wernisaż wystawy "Zdjęcia Tygodnia 2010", otwarcie wystawy "800 lat miejskiej historii Złotoryi", odsłonięcie tablicy pamiątkowej w zewnętrznym mauzoleum kościoła św. Mikołaja, współorganizacja II Biegu Szlakiem Wygasłych Wulkanów, IV Złotoryjska Pielgrzymka Drogą św. Jakuba, V Rajd Czterech Świątyń Jadwiżańskich, pojekt "Razem przez 800 lat, inscenizacja bitwy o wzgórze kościelne w Rokitnicy, X Powiatowy Dzień Regionalisty, XIV Rajd Jadwiżański, Sesja popularnonaukowa "Złotoryjanie", I Sypozjum Ojców Miasta, wydanie książki Aurimontanie, Goldbergerzy, Złotoryjanie, wystawa fotograficzna "Złote imprezy 2011".

- Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- Echo Złotoryi
- Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- Złotoryjski Klub Fotograficzny
- Koło Kresowian
- Klub Kolekcjonera
- Rajdy i szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- Księgarnia internetowa.

GALERIA SPONSORÓW

Kopalnie Surowców Skalnych S.A. Złotoryja

Lena Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl,
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480,
fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne BAZALT "Bazalt" SA w Wilkowie

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

VITBIS

POAR Złotoryja

Inżynieria INKOBUD Złotoryja
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

Lasy Państwowe Nadleśnictwo Złotoryja

KOSD Wilków
Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych Sp. z o.o. w Wilkowie

grysy bazaltowe
STONESPOL
płukane
kolorowe
posypki
mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

Dodatkowe 8 stron niniejszego numeru zostało wydrukowanych dzięki pieniężnemu wsparciu: Tadeusza Oleksowa, Rafała Tokarza, Pawła Okręglickiego, Lecha Wojtczaka, Danuty Owczarek, Pawła Dudki, Elżbiety Madei, Marka Mysyka oraz firm Kobud, Apteki Vita i Segregatory.pl

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus"), tel.: 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Józef Banaszek, Anna Chrzanowska (sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Danuta Sosa, Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Płyty nagrobne z pocz. XVII w. von Zedlitzów przy ruinach kościoła parafialnego w Podgórkach - fot. Andrzej Cukrowski